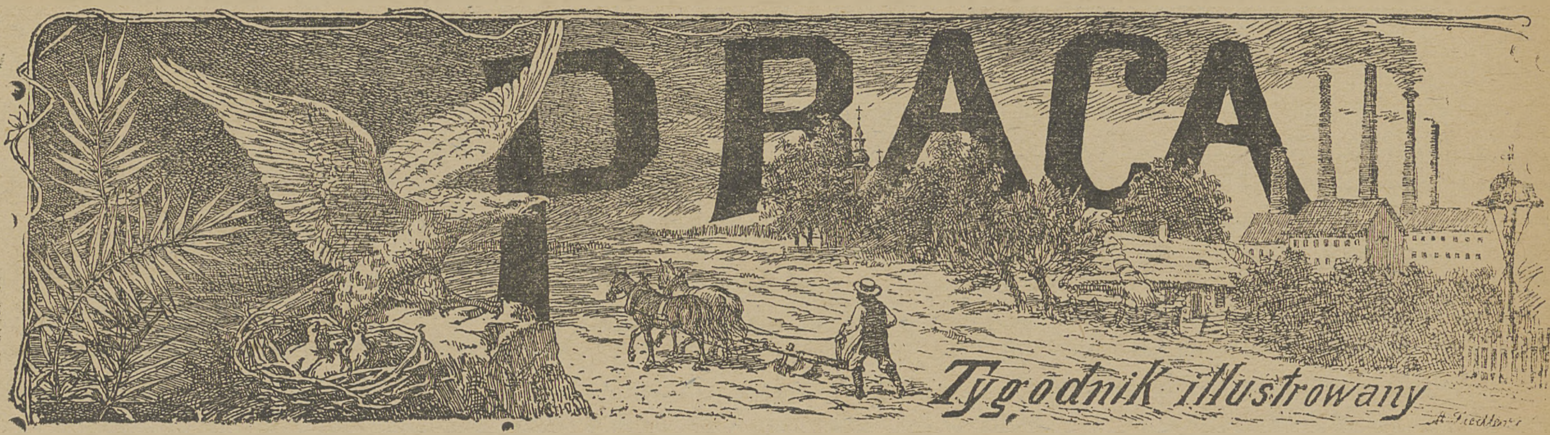
Nr. 6. Poznań, Niedziela 10-go Lutego 1901 r. Rok V.



Przedpłata w Poznaniu i na wszystkich pocztach w Niemczech wynosi kwartalnie **1,25 m.**; na poczcie w Austro-Węgrzech **1 kor. 47 hal.**
Pod opaską: w Niemczech **1,90 mr.**, w Austro-Węgrzech **2 kor. 30 hal.** za Oceanem **1 dolar 25 cent.**
Redakcya i Administracya „Pracy" znajduje się w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. — Telefon Nr. 1246.

Manuskryptów nie zwraca się.

Nisko i marnie —

postąpiła sobie „Gazeta Toruńska" i „Wiarus Bochumski" wobec p. Dr. Kazimierza Rakowskiego, byłego naczelnego redaktora „Pracy", a dotychczasowego wiernego współpracownika naszego. —

Szanowni Czytelnicy mają zapewne jeszcze w pamięci p. Dr. Rakowskiego, który przed przemocą opancerzonej pięści pruskiej — na mocy ukazu tutajszej policyi, jako obcopoddany zmuszonym był opuścić nagle — i na zawsze niegościnne granice cywilizowanych Niemiec, zmuszonym był rozstać się na razie z żoną i dzieckiem, zmuszonym był opuścić licznych, serdecznych przyjaciół i znajomych; stracić skromny chleb, który mu „Praca" zapewnić mogła za jego nader sumienną czynność redaktorską, pełną trudów i poświęcenia.

I co było winą, że p. Dr. Rakowski w przeciągu 24 godzin — zmuszonym był opuścić raz na zawsze ziemię Wielkopolską, na której z całej siły młodzieńczej duszy z pożytkiem pracował?

W samem zapytaniu — leży odpowiedź.

Za to oto, że p. Dr. Rakowski w łamach „Pracy" z zapałem i silną werwą, a zawsze tak serdecznie umiał przemówić do czytelników, wskutek czego pod naczelną redakcyą Dr. Rakowskiego pismo nasze rosło w liczbie abonentów z dnia na dzień, jak na drożdżach; za to, że około „Pracy" poczęło się gromadzić coraz więcej ludzi światłych, pracujących usilnie nad uświadomieniem ludu, wreszcie za to, że Dr. Rakowski w gorących słowach w łamach „Pracy" wzywał czytelników do wytrwania w wierze ojców i narodowości polskiej, dla tych oto grzechów w oczach pruskich — poczytała policya tutajsza p. Rakowskiego za zbrodniarza i to tak niebezpiecznego, że tenże nawet nocą zniewolonym był opuścić znajome strony, które pokochał, i szukać chleba na tułaczce.

Wyjechał więc p. Rakowski w świat niepewny, gdzie szukać chleba i przytułku, lecz duszą pozostał z nami; jeszcze dziś spotykacie się Czytelnicy w łamach „Pracy" z artykułami p. Dr. Rakowskiego, przy których czytaniu, niejednemu obojętnemu serce szybszem tętnem się odezwie.

P. Dr. Rakowski jest nam więc wszystkim znany, jest nam szczerym przyjacielem, jest nam bratem serdecznym i sądzić by trzeba, że chyba nie znajdzie się nikt wśród nas, któryby się odważył rzucić publicznie kamieniem oszczerstwa na p. Dr. Rakowskiego.

Tak by sądzić trzeba — a jednak tak nie jest!

Oto znalazł się człowiek — a jest nim p. Brejski, redaktor „Gazety Toruńskiej", do którego też należy „Wiarus Bochumski" — ten oto pan nie zawahał się ani na chwilę rzucić kamieniem potępienia na p. Dr. Rakowskiego; nie zawahał się p. Brejski w „Gazecie Toruńskiej" i w swym „Wiarusie" zamieścić „przestrogi" wystósowane do wszystkich towarzystw, zwłaszcza na obczyźnie — przed Dr. Rakowskim, przedstawiając go jako figurę niepewną, dwuznaczną, której lepiej unikać!!! —

Nieczytając ani „Gazety Toruńskiej", ani też „Wiarusa", pisemek w treści swej zresztą bardzo skromnych, ale tem pretensyonalniejszych, dopiero dziś dowiadujemy się z życzliwej strony z zdumieniem o tej bezprzykładnej potwarzy, rzuconej już przed dwoma tygodniami przez p. Brejskiego na p. Dr. Rakowskiego, którego z dumą słuszną zaliczamy do jednego z naszych najlepszych i najsumienniejszych współpracowników.

I niejeden z szanownych czytelników zapyta się z pewnem zdziwieniem, co było powodem takiego brutalnego wystąpienia przeciw p. Dr. Rakowskiemu i w jakim celu p. Brejski to uczynił? Odpowiedź na to nietrudna, a kto w zeszłym kwartale czytał zasłużoną „Gazetę Grudziądzką", którą p. Brejski w „Gazecie Toruńskiej" w sprosny sposób — dla chleba zwalczał, ten się odpowiedzi już z góry domyśli!

Z tych samych pobudek miał i p. Dr. Rakowski paść ofiarą a to dla następujących, w dziennikarstwie naszem dotąd niebywałych przyczyn.

Jak szanownym Czytelnikom z łamów „Pracy" wiadomo, w grudniu ukazała się nad Renem hakatystyczna broszura, wydana nakładem „Wszechniemieckiego Związku" zięjąca gryzącą nienawiścią do towarzystw polskich, zwłaszcza na obczyźnie i obrzucająca formalnie błotem nasz potulny ludek polski, pracujący w pocie czoła nad Renem i we Westfalii.

Zaraz po ukazaniu się tej nikczemnej, hakatystycznej broszury, dochodziły nas od licznych czytelników naszych z nad Renu i Westfalii oraz od różnych towarzystw listy z gorącą prośbą, by na tę polakożercą broszurę „wszechniemiecką" dać godną odpowiedź.

By tedy życzeniom naszych czytelników na wychodźtwie uczynić zadość, poprosiliśmy p. Dr. Rakowskiego, by się tą sprawą zajął, zwłaszcza, że tenże bawił dłuższy czas w niemieckich stronach i tam miał nieraz sposobność przekonać się naocznie o krzywdach wyrządzanych naszym tułaczom. P. Dr. Rakowski zajął się też z całą energią zbieraniem odnośnego materyału; nawiązał liczną a trudną korespondencyą z poszczególnemi prezesami towarzystw i z wychodźcami, porozsyłał starannie opracowane kwestyonaryusze i t. d., jednem słowem zajął się sprawą w niewinnej myśli, szczerze i całą duszą, by się przysłużyć dobrej sprawie i na mocy niezbitych faktów wyświetlić wszystkie te szykany, bez-

prawia i krzywdy wołające o pomstę do Boga, na które wychodźtwo nasze wskutek knowań hakatystycznych narażone jest ze strony wielu policyjnych mandarynów z nad Renu i Westfalii.

Rozpoczęła się więc trudna i mozolna praca dla p. Dr. Rakowskiego, nad którą tenże spędzał noce całe, by wydać dzieło poważne i wiernie illustrujące całą niedolę rodaków naszych na wychodźtwie.

A zajął się p. Dr. Rakowski wychodźtwem naszem tem chętniej, bo sam, osobiście dotknięty banicyą ze strony władz pruskich, odczuwał w duszy najlepiej te nędzę polskiego tułacza i tę pruską — siłę przed prawem!

Dotąd była sprawa w porządku i sem p. Brejski z „Gaz. Tor." wraz z „Wiarusem" byłby przyklasnął z takim trudem podjętemu dziełu, gdyby nie małe „ale", które p. Brejskiemu z gruntu zbrzydziło wszelkie uznanie...

Dziełko to ma bowiem prócz ogólnie objaśniającej, a zajmującej treści służyć też jeszcze interesom naszej prasy, zwłaszcza ludowej, ma być też jeszcze mniejwięcej tem, czem była adresowa książka Jaworskiego dla naszych kupców i przemysłowców, lecz z tą różnicą, że adresy poszczególnych towarzystw tu jeszcze staranniej zebrano i dokładniej podano. — Dziełko opracowane przez Dr. Rakowskiego ma służyć poniekąd jako drogowskaz, za pomocą którego pismom naszym daną będzie możność dotrzeć do licznych towarzystw i poszczególnych członków na wychodźtwie, gdzie dotąd jedynie p. Brejski z „Wiarusem" rej wiedzie. Podobny dodatek adresowy wszystkich towarzystw, dostępny każdej redakcyi pisma, niemógł naturalnie być na rękę p. Brejskiemu i to była — pierwsza i jedyna, ale też nieprzezwyciężona niechęć do p. Dr. Rakowskiego — —

Sama myśl, że w dziewiczy dotąd rejon „Wiarusa Bochumskiego" zapomocą broszury Dr. Rakowskiego — dotrzeć mogą teraz z łatwością wszystkie pisma polskie, z których niejedno staranniej redagowane, narazić może „Wiarusa" na utratę abonentów, sama ta myśl przejęła p. Brejskiego formalną trwogą.

To więc było powodem, dla którego p. Brejski w „Gaz. Tor." i w „Wiarusie" zamieścił przestrogę przed Dr. Rakowskim.

Cel uświęca środki - pomyślał p. Brejski...

By więc co prędzej zaradzić obawie przed możliwym ubytkiem — abonentów, p. Brejski wcale się długo nienamyślając, z zimną krwią zamieścił w „Gaz. Toruńskiej" i w „Wiarusie Bochumskim" przestrogę, zwłaszcza dla towarzystw na obczyźnie przed Dr. Rakowskim, jako przed człowiekiem niepewnym, nieznanym i niebezpiecznym, którego lepiej unikać, niedając wcale odpowiedzi na jego zapytania...

Tem bezprzykładnem, niesumiennem wystąpieniem wobec p. Dr. Rakowskiego chciał p. Brejski zniweczyć, a w każdym razie uniemożliwić wydanie odnośnej broszury, za pomocą której łatwo będzie dotrzeć pismom polskim nad Ren, gdzie obecnie tylko „Wiarus" panuje.

Po wyjaśnieniu — oddajemy sprawę tę pod sąd publiczny Szanownych Czytelników, a mianowicie, czy się godzi z tak marnych pobudek, jakiemi się powodował p. Brejski, redaktor „Gazety Toruńskiej", a zarówno właściciel „Wiarusa Bochumskiego", szarpać niczem nieskalane, dobre imię człowieka, który wśród nas pracował, z nami cierpiał, a że sprawie był wiernie oddany, musiał odpłacić zato banicyą.

My nie mamy na to odpowiedzi dla p. Brejskiego, krom — politowania.

Redakcya „Pracy."

An — —
Wielmożny Pan
Podbielski,
sekretarz stanu
w Berlinie **(Berlin).**

„Gdy konia kują — żaba nogę podnosi" — mówi nasze wypróbowanej trafności przysłowie. Mimowoli nasuwa się ono nam na myśl na widok, jak pan generał od poczt niemieckich, Podbielski, chciał zbierać tanie laury w debacie antypolskiej i jak mu się te laury zmieniły po zerwaniu — w pokrzywę.

„Gdy konia kują — żaba nogę podnosi" — więc pan Podbielski, zobaczywszy, że panowie Miquel, Studt i Rheinbaben potrafią się wykręcić z interpelacyi polskich przedstawianiem Polaków jako napastników — postanowił pójść w ich ślady i na interpelacyę posłów polskich, dlaczego poczta bezprawnie wyklucza posyłki z polskimi adresami, odpowiedział, że to właśnie poczta jest prowokowana przez Polaków — i że się musi bronić, bo coraz więcej się mnoży listów z polskimi adresami.

Na te jego słowa, które zastosowane były, jak to mówią, „ni w pięć ni w dziewięć" do sytuacyi i do interpelacyi, pojawiły się na twarzach posłów wszystkich partyj uśmiechy i niejeden sobie zapewne pomyślał, że pan Podbielski przed debatą musiał widocznie pójść na konferencyę do ojca antypolskiego kursu, p. Miquela i jak pan Miquel, wytrawny polityk, odpowiedział mu pewnie: Widzisz pan przecie, że my na wszystkie polskie interpelacye odpowiadamy twierdzeniem, iż Polacy są napastnikami — idź więc naszym śladem.

I pan generał od poczty szedł na rozprawy z pewnością siebie, sądząc, że ma już uniwersalne lekarstwo na „polską debatę" i dość mu będzie nastroszyć sumiaste wąsy i powiedzieć: „Wy jesteście napastnikami, a poczta się broni" — aby cały parlament mieć po swojej stronie.

Naturalnie nikt żądać nie może od generała, i to jeszcze od generała komenderującego korpusem listonoszów, aby był dyplomatą, ale tyle przecież mógł i powinien był wiedzieć pan Podbielski, że takie jego twierdzenie w tej sprawie przyjęte będzie wzruszeniem ramion, gestem politowania i zapytaniem: cóż dalej?

I istotnie to go spotkało po pierwszych wygłoszonych frazesach. Posłowie zaczęli spoglądać jeden na drugiego, trącać się i śmiać się po cichu — a gdy pan generał od poczty dalej na swym rumaku miquelowskiej logiki zaczął karkołomne harce wyprawiać, zapytano go, czy to ma być odpowiedź, a p. marszałek parlamentu wziąść go musiał w obronę przed satyrycznemi przycinkami posłów.

Widząc, że recepta miquelowska nie skutkuje, generał nasz mocno się zmięszał i stracił kontenans.

„Pytamy pana, jakiem prawem poczta poznańska odmawia przyjęcia posyłek z polskimi napisami?" — pytali posłowie, a pan Podbielski zaczął im wtedy szeroko opowiadać o tem, jak to w Berlinie rocznie około 200 tysięcy kart pocztowych znajduje poczta w skrzynkach zupełnie bez adresów, następnie o tem, że na przesyłkach zagranicę adres powinien być wypisany łacińskiemi literami i że zdarzył się wypadek, iż w jednem i tem samem mieście były

dwie osoby tego samego nazwiska i poczta nie wiedziała, której z nich doręczyć pieniądze — —

Jednem słowem pan generał sądził widocznie, że takiemi — interesującemi opowieściami zwróci uwagę parlamentu w inną stronę i że zaciekawieni posłowie zaczną się go pytać: „a ile też ładnych panienek sprzedaje marki w berlińskich pocztach“ — „a jak funkcyonują maszyny do pisania i t. d.“ — Pan generał więc starał się być o ile możności najbardziej interesującym i sądził, że uspokoi wzburzone umysły, jeśli będzie opowiadał historye, nie mające żadnego związku z interpelacyą o adresy polskie.

Ale i ten naiwny środek zawiódł biedaka kolosalnie: bo zebrani, słysząc te „trzy po trzy,“ nareszcie zapytali go: no, a jekżeż tam z owymi adresami?

Wtedy pan generał postanowił użyć broni ostatecznej. Widział on nieraz na debatach antypolskich, że jego ministeryalni koledzy — jak już nie było się czem wykręcić — używali wycinków z gazet polskich. Zapomocą tego sposobu można poprostu wszystkiego dowieść! Chwycił się więc tego środka i rzekł, że na hasło dane przez „Dziennik ślązki“ (który ma w Księstwie aż 4 (!!) abonentów) zaczęła się w Księstwie sypać powódź *(Hochfluth)* polskich adresów.

Posłowie nasi, widząc że z tego człowieka zwykłym trybem interpelowania nic nie wydobędą, postanowili ulżyć trochę mózgowym funkcyom ogromnie zaaferowanego generała i zapytali: „Wydałeś pan odnośne rozporządzenie, czy nie?“

„Uf — a to mi przyłożyli pistolet do piersi“ musiał sobie pomyśleć pan Podbielski, a gdy mi przez myśl przeszło, co to się dziać będzie z nim na tej parlamentarnej arenie, gdy powie, że on wydał istotnie takie rozporządzenie, wolał przeto „dla pewności“ powiedzieć, że on takiego rozporządzenia nie wydał i że „owszem“ on wniosek odnośny, podany przez prowincyonalne władze pocztowe, odrzucił. — Po tem powiedzeniu odetchnął sobie spokojniej, aż tu przyszło dalsze żądanie posłów: „A więc, jako zwierzchnik, ukarz należycie tych bałwanów, którzy śmią wbrew twemu rozporządzeniu dyktować ludności hakatystyczne swe rozkazy.“

Na to pan generał — zazwyczaj nie lubiący żartów w niesubordynacyi podwładnych — rzekł, że on łagodnie się obchodzić zwykł z podwładnymi i że ta cała agitacya przeciw poczcie jest sztuczna, „bo i dlaczegoż ci panowie Polacy zadają sobie tyle trudu, że piszą np. Poznań, po polsku, a potem po niemiecku: *Posen.* Dlaczego po prostu nie użyją samych niemieckich? Po co te dodatki?“

„No i gadaj tu z nim!“ — wyrwał się wtedy mimowolny okrzyk jednemu z naszych posłów. — Albo nie rozumie, co się do niego mówi, albo tak się przeląkł, że nie wie sam, co mówi.

„Ogłoście panowie moją mowę w waszych pismach“, mówił do Polaków dalej Podbielski. Ciekawa rzecz, co on sobie mógł wtedy myśleć, wypowiadając takie życzenie: widocznie albo siebie uważał za mówcę pierwszej wody, albo czytelników naszych gazet brał za ludzi tak nieoświeconych, że się nie poznają na wartości jego wywodów.

Ale, pomijając to wszystko, nie możemy nie zwrócić uwagi jeszcze na jeden szczegół. Oto p. Podbielski, przypatrzywszy się widocznie, jakie sukcesy w parlamencie odnosi pan Bülow, zbywając poważne sprawy trafnie dobranymi żarcikami, i sam chciał się chwycić tej metody. Zapomniał tylko o tem, że aby dowcip był dowcipem, musi być dowcipny, a nie płaski i nie grubijański.

Pan generał od poczt widocznie o tem zapomniał, gdy, — chcąc w dobry humor dowcipem wprawić zebranych posłów, zaczął robić niestosowne przycinki do niemieckiego brzmienia nazwiska wydawcy „Pracy“. „Wyobraźcie sobie, panowie, mówił, że w agitacyi przeciw poczcie zaznaczył się najbardziej pewien polski agitator, o czysto niemieckiem nazwisku: Biedermann“ — —

Na to się roześmiała izba, ale — z Podbielskiego, który — sam nosząc polskie nazwisko — nie wstydzi się występować przeciw Polakom i szerzyć hakatystyczną agitacyę w podwładnych sobie urzędach.

Nikogo naturalnie winić za to nie można, jeśli mu Pan Bóg poskąpi zdolności do dyplomacyi. „Nie dał Pan Bóg cielęciu rogów — boby nimi bodło“ — mawiał stary pan Zagłoba, który miał experiencyę w dyplomacyi i pewnieby pana Podbielskiego mocniej jeszcze splantował, gdyby żył dzisiaj. Więc nie winimy pana Podbielskiego o to, że się tak niezdarnie bronił, — nie od każdego przecież zręczności parlamentarnej wymagać można, a zwłaszcza od generała, ale tyle wszakże wymagać można od każdego, aby się poznał, że skoro się nazywa Podbielski i broni hakatystów, to mu sam rozum nakazuje nie potrącać kogoś, kto się nazywa Biedermann i broni sprawy polskiej. Słusznie też zwrócił uwagę na to poseł Kuhnert, radząc Podbielskiemu, aby się nazwał *Unterweisser,* na co mu cała izba dała brawo.

Herr Unterweisser powinien wiedzieć, że jest pewna różnica pomiędzy Podbielskimi, którzy stoją pod komendą hakaty, a Biedermannami, którzy stoją pod sztandarem polskim. Pierwszych każdy może posądzić o to, że się wyrzekli polskości, a przybrali pruską skórę po to, aby otrzymać szlify generalskie, ordery i wysokie godności państwowe; a naszym Szulcom, Starkom, Biedermannom i Rydlom nikt na świecie nie ma prawa cisnąć w oczy zarzut, że przeszli do obozu polskiego, kupieni złotem, bo nie złotem i zaszczytami, ale łzami i smutkiem karmi i wynagradza ich ta nasza polska ziemia; — a jeśli są jej wierni i przywiązani do niej, — jeśli swą pol-

skość noszą głęboko w sercu i z dumą na czole — to dlatego, że ta polska ziemia przygarnęła niegdyś ich przodków serdecznie i nie dążyła nigdy do wydarcia im gwałtem ich dawnej narodowości. Ci więc nauczyli się być wdzięczni tej ziemi i kochać ją w nieszczęściu — podczas gdy pewne osobistości w obozie hakaty nosząc polskie nazwisko, j. n. Podbielski, Bogusławski, Posadowski i t. d., wyparły się polskości — za złoto! — —

Prosilibyśmy wszystkie te osobistości zatem, aby o tej zachodzącej między nimi a nami różnicy pamiętać chciały. Niech pan Podbielski na przyszłość do swych nieudanych żartów zechce wyszukiwać np. Niemców, którzy w rosyjskiej służbie wynaradawiają prowincye nadbałtyckie, — lub takich Klingenbergów, Uexküllów — a wtedy będzie równy z równym. — Biedermannom lepiej niech da spokój, bo oni nie dla karyery są Polakami. Więcej Biedermannom do twarzy polskość, bo pochodząca z wdzięcznego serca, niż p. Podbielskiemu pruski patryotyzm, dobrze opłacany złotem! — —

Polscy obywatele z niemieckiemi nazwiskami stoją trochę wyżej od karyerowiczów niemieckich z polskiemi nazwiskami — kompania przeto nierówna.

O tem niech raczy pamiętać pan sekretarz stanu Unter — — pardon! Podbielski, gdy przy najbliższej sposobności przyjdzie mu ochota znowu blamować się w pełnej izbie. A jeżeli p. generał Podbielski już żadną miarą nie zdoła powstrzymać wybujałych zapędów germanizatorskich — natenczas radzimy mu dla dobrego przykładu spruszczyć nasamprzód swoje nazwisko podług recepty posła Kuhnerta — — *Vester.*

Walka polskich wychodźców o polską opiekę duchowną.

W jednym z poprzednich numerów współpracownik „Pracy“ skreślił obraz germanizacyi w Prusach Zachodnich. Dziś chcemy się zająć sprawą germanizatorów-księży w Westfalii.

Historya opieki duchownej dla Polaków w Westfalii jest pouczającym przyczynkiem do kwestyi podatności niektórych dostojników kościelnych jako narzędzi polityki świeckiej.

Gdy przed kilkunastu laty coraz to liczniej zaczęli osiadać Polacy w przemysłowym okręgu nadreńsko-westfalskim, okazała się potrzeba sprowadzenia dla nich kapłanów Polaków, gdyż większość nie posiadała prawie wcale języka niemieckiego.

Wówczas — a należy tu zauważyć, że ze strony rządu nie było jeszcze takiej presyi antypolskiej, jak dzisiaj, — władza duchowna w Paderbornie, Kolonii n. R. i Monastyrze nie widziała żadnych przeszkód w ustanowieniu kilku kapłanów-Polaków i w oddaniu opieki nad wychodźcami.

Byli podówczas czynni księża: ks. Szotowski, ks. dr. Liss i ks. Józefowski. Wychodźcy nasi, którzy pamiętają działalność tych kapłanów z rozrzewnieniem wspominają o tych czasach.

Liczba wychodźców polskich w Westfalii była wówczas jeszcze nieznaczna w porównaniu z dzisiajszą. Polacy w małych grupach rozsiani byli po całym ogromnym okręgu. A jednak księża-rodacy znajdywali czas, aby przynajmniej w 2 miesiące odwiedzić w najzapadlejszych kątach ulokowane kolonie polskie, aby żywem słowem utwierdzić rodaków w wierze ojców, aby ich zachęcić do utrzymywania stosunków z krajem, do czytania gazet, do żenienia się z Polkami.

Ks. dr. Liss cały czas poświęcał temu misyonarstwu — bo inaczej trudno to nazwać — i aby błogie wyniki swej działalności spotęgować, założył pismo polskie dla wychodźców w Westfalii „*Wiarusa Polskiego*“, który po dziś dzień wychodzi w Bochum.

Lecz wówczas coraz to nowe dziesiątki tysięcy Polaków zaczynały napływać do Westfalii, a ten napływ, mający wszelkie pozory wywołanej ekonomicznie konieczności tendencyi do wytworzenia w głębi Niemiec czysto polskich okręgów, spowodował rząd pruski do szukania sposobów, za pomocą których najłatwiej byłoby przełamać odporność Polaków wobec germanizacyi i przerobić ich na Niemców. Wyśledzono, jak dobroczynny wpływ wywierał ks. dr. Liss, i rząd wyraził ks. biskupowi padernborskiemu, ks. Simarowi, obecnemu arcybiskupowi w Kolonii, życzenie, aby tej działalności ks. Lissa kres położył.

Ks. dr. Simar z Polakami nie sympatyzował i niechętnie patrzył na pomnażające się coraz bardziej zastępy polskich dyecezyan, którzy pociągnąć za sobą mieli polskich księży i — co za tem idzie — wytworzenie z jednolitej dyecezyi i jednolitego kleru: niemieckiej i polskiej części. On chciał mieć „jedno stado“ — więc stawił ks. dr. Lissowi warunki: skasowanie „Wiarusa polskiego“, gdyż katolickie pisma niemieckie są również dobre dla Polaków; dążenie do zmniejszenia liczby polskich kazań; popieranie związków małżeńskich pomiędzy Polakami a Niemkami; nie naleganie na rodziców polskich, aby dzieci wychowywali po polsku.

Kapłan polski w poczuciu swych obowiązków nie uląkł się biskupa, marzącego o purpurze kardynalskiej. Powiedział, że ani „Wiarusa“ nie zawiesi, ani do tych innych życzeń się nie zastosuje. Z furyą, której pamięć dziś jeszcze pozostała, obstawał biskup przy swojem. I padło nawet groźne słowo o „nieposłusznym kapłanie“ z ust rozgniewanego księcia kościoła.

Wierny pasterz opuścić musiał swe stado: ks. Liss opuścił Westfalię, żegnany gorącemi łzami swych ukochanych wychodźców, którzy dziś jeszcze swym dzieciom opowiadają o dobrym opiekunie, o do-

brym duchu tych kolonii polskich, — o założycielu niezliczonych towarzystw polskich. — —

Po ks. drze Lissie przybył ks. Mielicki. I tym razem wybór był dla Polaków szczęśliwy. Ks. Mielicki, zacny Polak, prowadził dalej dzieło ks. Lissa, choć musiał już bardziej się krępować i wystrzegać pozorów, niemiłych dla oka rządu.

Lecz działalność tego wybornego kaznodziei i znawcy ludu została znowu brutalnie przerwana.

Zakon Franciszkanów, znając zapewne ofiarność ludu polskiego, zapragnął w swe ręce zagarnąć duszpasterstwo nad Polakami. Biskup dr. Simar zaakceptował projekt przedłożony mu przez O. Andrzeja i wynikiem tych konferencyi miało być oddanie Franciszkanom, a specyalnie O. Andrzejowi opieki nad Polakami, skoro tylko ustąpi ksiądz Mielicki.

I ks. Mielicki ustąpić musiał, skoro się rozeszła wieść, że jest on Jezuitą. Jezuitom w Niemczech jest pobyt surowo wzbroniony....

Opiekę duchowną objęli Franciszkanie. Rozpoczęły się czasy cichej, podziemnej walki. Ojciec Andrzej, mając do pomocy O. Camilusa i O. Wilhelma zagarnąć chciał w swe ręce ster nad wszystkiemi towarzystwami polskiemi w Westfalii, mianował się generalnym prezesem i chciał być dla nich *ex officio*, z dekretu biskupiego, tem czem był dzięki swej pracy ks. dr. Liss.

O. Andrzej chciał potwierdzać lub kasować wybór prezesa w towarzystwach, w kilku towarzystwach zrzucił wydział, szczerze pracujący nad utrzymaniem narodowości, narzucił na jego miejsce narzędzia swych planów, łączył polskie towarzystwa z niemieckiemi katolickiemi, wyrzucał chorągwie z polskiemi napisami z kościołów, fundusze, przeznaczone na pisma i książki polskie, kazał towarzystwom składać do kas kościelnych niemieckich towarzystw, przeciwko „podburzającym" pismom polskim powstawał i pod grozą swego kapłańskiego gniewu zakazywał abonowania ich w towarzystwach. — —

Nastały czasy straszne, kościoły stały się widownią walk. Z ambon padały wyzwiska przeciw Polakom, przeciw „polskiemu bydłu," lud polski stracił ufność do konfesyonału, podejrzewając łamanie pieczęci spowiedzi, gdyż w konfesyonałach uprawiano walkę przeciw pismom polskim, towarzystwom, niechcącym uznawać patronatu O. Andrzeja, i polskim książkom. Od konfesyonałów i z kościołów wyganiano prawych Polaków za ich „krnąbrność wobec władzy duchownej." -

Lecz O. Andrzej przegrał.

Doszło do takiego wzburzenia pomiędzy ludnością polską, że musiał on ustąpić. Towarzystwa polskie nie dały mu się ujarzmić, a w walce z nimi nie uległy.

W r. 1896 przybył O. Korneliusz. Był to prawy Polak i jego samo pojawienie się na miejsce znienawidzonego O. Andrzeja podziałało uspokajająco. Trudno było wprawdzie nawiązać zerwane nici wzajemnych stosunków, bo lud stał się nieufny, ale łagodność i życzliwość O. Korneliusza przełamała lody.

Lecz wtedy ta dłoń zgóry oderwała go od parafian. Został przesiedlony w inne strony.

Potem dano ks. Albanusa, Niemca wprawdzie, ale życzliwie usposobionego dla Polaków. Starał się on łagodnością, jak balsamem kojącym, leczyć rany w sercach „swych Polaków." I udawało mu się to niezgorzej zapomocą nieraz dziecinnych środków, choć słabo mówił po polsku. Nieraz, będąc obecny na posiedzeniach towarzystw polskich, kazał sobie śpiewać polskie piosneczki i rad zachwycał się niemi, a tem ujmował serca.

Lecz przesiedlono i tego kapłana w r. 1899.

Obecnie opieka duchowna spoczywa w ręku kilku zakonników, gorzej jeszcze od O. Albanusa mówiących po polsku. Lud polski, choć przyzwyczajony na obczyźnie do słyszenia, jak kaleczą jego język na ambonach, skandalizuje się obecnie kazaniami.

W Mengede, w Derne i w innych miejscowościach obwodu Dortmundzkiego były niedawno kazania O. Franciszka. Zakonnik ten chciał brak znajomości języka polskiego zastąpić *jędrnością* wyrażeń i z ust jego co chwila pod adresem polskich parafian padały słowa, jak „jesteście świńskie pyski", „bydlęta", „świnie." W Derne wszystkim zebranym powiedział, że wartoby ich w „świńskie skóry" pozaszywać, a w Dellwig znowu, że takim „sobaczym mordom" to nic do głowy trafić nie może.

Stosunkowi Polaków w Westfalii do tych misyonarzy odpowiadają stosunki ich do miejscowych proboszczów, w parafiach których zamieszkują.

Oto kilka przykładów: W Derne w r. 1894 Polacy zawiadomili księdza proboszcza Isinga, że chcą założyć towarzystwo polskie i zaprosili go na pierwsze posiedzenie. Ksiądz zaproszenie przyjął i myśl założenia towarzystwa poparł, obiecując sobie z tego korzyści przy budowie kościoła, który wówczas był w projekcie. Towarzystwo zostało założone, a na następnem posiedzeniu w obecności proboszcza zaczęto zbierać składki na polską chorągiew dla towarzystwa.

Ksiądz, nie rozumiejąc o co chodzi, myślał, że to zbierają składki na kościół, gdy ujrzał, jak na talerz składkowy padały talary, pięciomarkówki, a nawet i złoto. Dowiedziawszy się, że to na chorągiew, energicznie zaprotestował. Protesty nie pomogły. Chorągiew — widoczny znak tej polskiej odrębności — sprawiono, lecz gdy tradycyjne poświęcenie jej odbyć się miało, niechęć do niej ujawniła się u przybyłego wówczas do Derne zakonnika O. Camilusa, który wraz z proboszczem chciał przeszkodzić polskiemu teatrowi amatorskiemu. „Chorągiew jest wprawdzie ładna" powiada O. Camilus, „ale ja jej nie poświęcę, jeśli upierać się będziecie przy odegraniu teatru amatorskiego." Na to mu odpowiedziano: „Jeśli wielebny Ojciec nie poświęci, to poświęci kto inny. Święcona woda jest przecie i w Poznaniu."

Na to opozycya znikła, a cho

rągiew przy współudziale licznych towarzystw polskich z okolicy została poświęcona.

Faktów takich setki przytoczyć by można: wszystkie one zasadniczo jeden i ten sam rys wykazują: *chęć odebrania wychodźcom polskim ich narodowości.*

A wreszcie jedna jeszcze uwaga: znaleźliśmy sposób, który może położy kres wynaradawiającej działalności germanizatorów — odnośny memoryał z podaniem faktów niebawem będzie powołany do Rzymu, prosimy zatem wszystkich naszych wychodźców, którymby były znane jeszcze inne wypadki prześladowania pieśni polskich kościelnych, chorągwi z polskimi napisami i t. p. nadużycia, aby niezwłocznie je do redakcyi „Pracy“ lub do podpisanego nadesłali.

Dr. Kazimierz Rakowski.

Nasza prasa.

II.

> Znać, że srogą pełniłem
> twardą, bożą służbę.
> Słowacki.

Od chwili, w której pisałem poprzedni swój artykuł do dzisiaj zmieniło się niejedno w stosunkach naszej prasy, i to zmieniło na korzyść. Z wszelkiem uznaniem podnieść mi to tutaj wypada: Nasamprzód raz przecież prasa nasza, przedstawiciele wszystkich jej organów, — a więc i krańcowy konserwatyzm i krańcowy postęp, — zgodnie i z niebywałą dotąd jednomyślnością zwołali wielki wiec w sprawie szykan pocztowych; dali tem samem dowód, że w obronie wspólnych spraw narodowych powinno się drobne względy partyjno-społeczne pomijać i iść ręka w rękę do jednego celu. Przekonali się też panowie redaktorzy, że taka wspólna działalność nie napotyka w praktyce na nieprzezwyciężone trudności w przeprowadzeniu, i że wcale korzystne wynikają z niej skutki. Oby to było tylko dobrym początkiem dalszej wspólnej obywatelskiej służby!

A dalej, w obec impertynencyi poczty wszystkie pisma nasze stanęły hardo i chociaż w tym przypadku wszystkie pozbyły się swych nawet najsłabszych ugodowych chęci; może te nowe zapędy i zakusy germanizacyjne podziałają wśród nas zbawiennie i uzdrawiająco. Lecz pomijam już ostatnie pocieszające objawy wśród naszej prasy na zewnątrz, a powracam do omówienia jej wewnętrznego charakteru i zasadniczego stanowiska.—

O tem jak zgubną być musi ugodowość, chociażby wallenrodyczna w prasie, mówiłem już poprzednio; każdy artykuł idzie między ludzi i tam będzie stosownie do swej treści krzewił życie i podniecał, lub będzie je truł i kaził.

Na wskroś szkodliwą więc musi być ugodowość szerzona przez gazety; tem bardziej zasługuje na potępienie. Z drugiej strony nie widzimy też potrzeby wpadania zaraz w drugą ostateczność i pisania stale w tonie zajadłym, gwałtownym, burzliwym, nie widzimy potrzeby prowokowania sądów, wywoływania procesów, drażnienia, jak to mówią, rządu. Nie idę ja, co prawda w obawach swych tak daleko, bym przypuszczał, że mogą nam kiedykolwiek znieść naszą prasę polską w Poznańskiem; obawa taka mogła się tylko wyrodzić w umysłach trwożliwych, niespokojnych, tracących sąd trzeźwy. Kto zna, choć po trochu, dzisiejszy wewnętrzny ustrój Niemiec, stosunek poszczególnych partyi i rządów do siebie, ten z góry będzie się śmiał z takiej obawy. Boć każdy wie, że drogą prawodawstwa w parlamencie niemieckim prawo skasowania prasy polskiej w obrębie Rzeszy niemieckiej nigdy nie przejdzie. Pozostaje więc możliwość ferowania i przeprowadzenia w sejmie pruskim prawa znoszącego w Prusach gazety polskie. Dajmy na to, że prawo takie w dzisiejszym sejmie pruskim by przeszło — w tym sejmie, który wedle słów jednego z mówców wolnomyślnych, jest *karykaturą* reprezentacyi ludowej — to i cóż? nasamprzód zostaje nam droga apelacyi do parlamentu, bo na zasadzie artykułu czwartego, paragrafu szestnastego, prawodawstwo prasy dotyczące, należy przed parlament; wynik przedłożenia sprawy tej parlamentowi nie może być wątpliwym.

Ale przypuśćmy, że dzieje się rzecz wręcz niemożliwa — to któż nam zabroni przenieść redakcye swe z Prus dajmy na to do Saksonii, do Księstwa Reuss lub Lippe? Cóż wtedy zrobi skompromitowany i ośmieszony rząd pruski? nie będzie nawet miał satysfakcyi robienia nam procesów i zamykania redaktorów naszych do więzień, a my, w państewku Prusom nieprzyjaznem będziemy mogli wylewać jeszcze więcej żółci i gromić jeszcze więcej Prusaków. — To też sfery rządowe dobrze te wszystkie możliwości z góry już przewidują i dlatego — każdy rozsądny może to sobie powiedzieć — o zniesieniu prasy u nas nie myślą, *bo myśleć nie mogą;* wiedzą dobrze, że w ten sposób chcąc nas tamować, puszczali by tylko wodę na nasze polskie młyny, które wprawdzie mielą zwolna, ale tem pewniej.

Wiem przeto, że obawa o zniesienie prasy polskiej u nas jest płonną, wiem, że nakładanie sobie hamulca z tego względu jest niepotrzebnem, a jednak nie jestem przyjacielem zbytecznego hałasowania w prasie. Bo chociaż nie mogą nam zadać tej najdotkliwszej z wszystkich klęsk, to przecież mogą z nieprzebranego arsenału swego dobywać coraz to nowych środków do tępienia nas, wpadać na pomysły coraz to nowych szykan; te nas wprawdzie nie zniszczą, ale wyczerpują siły nasze, które zużyte w innym kierunku mogłyby nam inne i większe zgotować korzyści.

Tak się to, Czytelniku miły, pisze w chwilach chłodnej rozwagi i spokojnego sądu. A przyjdzie potem wiadomość o uwięzieniu kobiety za nauczanie polskiego, o urąganiu urzędnika pruskiego uczuciom polskim. o pakowaniu dzieci polskich na niemiecką naukę religii, — to gniew i oburzenie bierze górę nad chłodną rozwagą i chwyciwszy za pióro wylewa się na papier słowa łez i krwi i goryczy pełne. Z jednej strony woła rozwaga o hamowanie się, z drugiej strony pokrzywdzone uczucie i duma Polaka buntuje się przeciwko krzywdzie, jaka nam się dzieje i dopomina się praw swoich.

Nieuczciwie postępuje sobie ten, kto jako dziennikarz lekkomyślnie schlebia instynktom i upodobaniom tłumu, ale nikczemnie postępuje ten, kto pisze z poniżeniem własnej swojej i narodu swego godności. I przychodzą nieraz na człowieka, który piórem służyć narodowi swemu pragnie, chwile wewnętrznej rozterki i dusznego niepokoju; przez nie taka służba piórem staje się dla człowieka sumiennego zaiste *„srogą, twardą, bożą służbą“* i dlatego to te Słowackiego słowa postawiłem na czele niniejszego artykułu. Ta sroga, twarda, boża służba znaczy dla mnie tyle, co nieść sztandar narodowy wysoko, jaknajwyżej, a przecież go niepotrzebnie na sztych, czy strzał wroga nie narażać.

Poznańczyk.

Interpelacya posłów polskich w sprawie szykan pocztowych.

Interpalacya, którą wytoczono przed forum parlamentu niemieckiego dnia 24 stycznia, uzasadniał poseł nasz, p. Józef Głębocki.

Przytaczamy poniżej w streszczeniu jego mowę:

Mniej więcej od października i listopad r. z. nastąpiła nagła i niespodziewana zmiana w taktyce władz pocztowych wobec przesyłek z napisami i adre-

sami zupełnie lub w części polskiemi. Władze pocztowe w dzielnicach polskich w bardzo wielu miejscowościach albo nie przyjmowały przesyłek pocztowych, mianowicie wartościowych z polskiemi adresami, albo przyjęte przesyłki wprawdzie ekspedyowały, ale ich nie wydały, tylko zwróciły do miejsca ich nadania jako niedoręczalne.

Pan dr. Gryglewicz z Jutrosina wysłał przekaz pocztowy z adresem: „Wiel. ks. Paluchowski, Poznań (Posen), St. Martinstrasse Nr. 1“. Ten przekaz pocztowy zwrócono jako niedoręczalny, ponieważ adres był w części niezrozumiały.

Na to oświadczył oddawca: „Przekaz ma być oddany X. B. Paluchowskiemu, wikaryuszowi przy kościele św. Marcina, mieszkającemu w Poznaniu przy ulicy św. Marcina.“ Na to otrzymał odpowiedź: „Skrócenia: X. B. są niezrozumiałe.“

(Słuchajcie! słuchajcie!)

Oddawca użalał się na to i napisał do urzędu pocztowego, że nie wie wprawdzie, co znaczą skrócenia „X. B.“, ale odbiorca podpisuje się w ten sposób, dlatego pieniądze odesłał pod tym adresem; zresztą listowy może się przekonać z karty wizytowej, umieszczonej na drzwiach adresata, że adres się zgadza. Listonosz widział tę kartę wizytową, i wiedział kim jest adresat, mimo to przekaz pocztowy zwrócono oddawcy jako niedoręczalny.

Panna Jaskulska z Wróblewa przesłała paczkę z adresem: „W. Pani Dr. Ławicka, Wróblewo“. We Wróblewie jest urząd pocztowy, urzędowa nazwa tej miejscowości brzmi również Wróblewo; mimo to paczkę zwrócono jako niedoręczalną.

P. Nagowski wysłał przekaz pocztowy do „Pracy“. „Praca jest znanym tygodnikiem w Poznaniu i poczcie pod nazwą „Praca“ znanym, mimo to przekaz został zwrócony jako niedoręczalny. Także tu wniesiono zażalenie i otrzymano odpowiedź, jak poprzednia.

M. p. Zwrócę jeszcze specyalnie uwagę waszą na jeden wypadek. Panna Wanda Mayer ze Śremu wysłała paczkę do Krakowa i zaadresowała: „An Fräulein Eva v. Parczewska, Oesterreich-Galizien, Krakau“, a potem po polsku „Ulica Strzelecka 15“. Polską nazwę ulicy dodano, ponieważ w Krakowie nie ma niemieckich, tylko polskie nazwy ulic.

(Bardzo słusznie!)

Gdy pani ta przyniosła paczkę na pocztę, powiedział jej odnośny urzędnik, że adres w ogólności jest dobry, chodzi tylko o jedno słowo „Ulica Strzelecka“, które jest niezrozumiałe dla urzędu pocztowego i dlatego musi być zamienione na niemieckie. Pani ta, pragnąc wysłać paczkę jaknajprędzej, poprosiła urzędnika, aby przetłomaczył nazwę ulicy na język niemiecki. Odnośny urzędnik, który rzekomo po polsku nie rozumiał, przetłomaczył na „Schützenstrasse“.

(Wesołość. Słuchajcie, słuchajcie!)

Paczka przybyła do Krakowa, ale nie wydano jej tam, ponieważ krakowski urzędnik pocztowy nie znał żadnej „Schützenstrasse.“ (Wesołość.)

Jeżeli urzędy pocztowe język polski nazywają obcym, mianowicie w dzielnicach polskich państwa związkowego pruskiego, to jest to zupełną niesłusznością.

(Głosy na lewicy: Bardzo trafnie!)

Odpieram to oznaczenie w sposób jak najbardziej stanowczy i protestuję przeciw temu. Nie może być obcym język w krajach, w których od dziesięciu wieków jest używanym przez rodzimą ludność.

(Głosy na lewicy: Bardzo słusznie!)

Język ten jest właśnie dla tej ludności i dla tych dzielnic językiem krajowym i potocznym i jak każdy język krajowy i potoczny dla ruchu pocztowego zupełnie odpowiednim i wystarczającym.

Mości panowie, w paragrafie nie ma ani słowa o używaniu obcego języka jako o przeszkodzie w ekspedyowaniu. Używanie obcego języka podług międzynarodowej światowej konwencyi nie może być przeszkodą w ekspedyowaniu pocztowem.

(Bardzo słusznie! — u socyalistów.)

Wynika ztąd, że także po polsku adresowane przesyłki, które przychodzą z zagranicy, muszą być dalej ekspedyowane przez pocztę,

(słuchajcie, słuchajcie!)

przez tę samą pocztę, która obecnie używane przez polską ludność adresy polskie, oznacza jako niezrozumiałe i nie nadające się do ekspedycyi.

Dalszym skutkiem postępowania urzędów pocztowych, jak to dowodami stwierdziłem, jest materyalna szkoda odnośnej publiczności. Powstaje ona przez tak zwane „Strafporto“, które musi być opłacane przy każdej zwróconej przesyłce. Powstaje także przez to strata procentów i wogóle strata przez te wszystkie niekonsekwencye, które wynikają ze spóźnienia lub nieprzyjęcia przesyłek. Zaszły nawet straty w towarach. Mam dowody, że pakietów nie ekspedyowano albo zatrzymano, i że z tego powodu ich zawartość, n. p. zające, kaczki i t. d. gdy nareszcie paczki zostały wydane, nie były do użycia.

(Słuchajcie! słuchajcie! u Polaków.)

Ale, mości panowie, dalszą konsekwencyą tego postępowania jest określone już przezemnie wzburzenie wśród ludności polskiej. Tkwi ono w przekonaniu tej ludności, że chodzi tu o jej krzywdę, o ograniczenie jej prawa. Ale tkwi także w przekonaniu, że postępowanie urzędów pocztowych — chciałbym się bardzo łagodnie wyrazić — ma wyraźnie prześladowczy charakter.

Przytoczyłem orzeczenie pocztowego urzędu Rzeszy, z którego wynika, że identyfikuje się on zupełnie z postępowaniem władz lokalnych. Ubolewam nad tem bardzo, bo nie pragnąłbym, by właśnie z tego miejsca utwierdzano takie pojmowanie rzeczy u urzędników, jakoby poczta była jeszcze czemś innem, jak prostą instytucyą ruchu przesełkowego.

(Bardzo słusznie! u socyalistów).

Ewentualna ze strony zarządu poczt uwaga Rzeszy, że nie rozporządza po polsku mówiącymi urzędnikami, upada wobec faktów już przezemnie przytoczonych, mianowicie wobec faktu, że największa ilość urzędników, szczególnie niższych, nietylko rozumie po polsku, ale przeważnie składa się z Polaków, a zatem musi rozumieć po polsku. Gdyby atoli na prawdę istniał brak po polsku rozumiejących urzędników, to musiałby sobie zarząd poczt Rzeszy sam winę przypisać, gdyż w roku ubiegłym wielką ilość polskich urzędników przeniósł do innych prowincyi.

Odpowiedź sekretarza stanu Podbielskiego.

Jestem panom bardzo wdzięczny, żeście nie odczekali obrad komisyi budżetowej, tylko, żeście tę sprawę już teraz tutaj poruszyli. Przekonany jestem, że wysoka izba, jak i cała ludność niemiecka dojdą do zupełnie innego rezultatu po moich wywodach, aniżeli po wywodach p. preopinanta.

(Głosy i śmiech na lewicy).

Proszę m. p., nie przerywać mi, tylko odczekać, co powiem. Udowodnię panom, że prowokacya w tej sprawie wyszła wyłącznie od ludności polskiej.

M. p., jasnem jest, że, jeżeli adresy tych przesyłek wartościowych i paczek, zawierają niezrozumiałe dla nas wyrazy, mogą w ten sposób być tam umieszczone jakie zastrzeżenia, któreby nas mogły materyalnie zobowiązywać.

Zawsze i wszędzie dbałem o to, żeby wpływano na coraz szersze koła ludności, by wszystkie przesyłki pocztowe tak wyraźnie i jasno adresować, że nie może być wątpliwości co do doręczenia. Tymczasem według spisu, który mam pod ręką, było w samym zeszłym roku znów 2 miliony przesyłek, których nie można było doręczyć; i wystawcie sobie panowie, otrzymaliśmy aż 150000 kart pocztowych bez adresu!

(Wielkie objawy wesołości — głosy z ław socyalistycznych.)

Dobrze, m. p., odczekajcie przecież! — Widzicie, ztąd panowie, że otrzymujemy mnóstwo przesyłek, których nie

możemy ekspedyować. W samym Berlinie otrzymujemy dziennie około 15000 przesyłek z niedostatecznym adresem. (Wesołość — głosy u socyalistów.)

A więc chodzi nam głównie o to, żeby ze wzrastającym ruchem pocztowym nalegać na coraz szersze koła ludności: piszcie adresy tak, by je każdy urzędnik pocztowy rozumiał! Sądzę, że mi panowie przyznacie, nawet na skrajnej lewicy tej izby, że skoro niemożliwem jest ekspedyować przesyłek z niedostatecznemi adresami, nie można też urzędników czynić za to odpowiedzialnymi.

(Ponowne głosy u socyalistów.)

Marszałek: M. p., proszę nie przerywać panu sekretarzowi stanu!

Podbielski mówi dalej: Uważałem za mój obowiązek przedstawić wysokiej izbie zupełnie objektywnie odnośne stosunki, aby wszystkie koła starały się oddziaływać na ludność w tym kierunku, by przy adresowaniu nie stawiała nas przed nierozwiązane zagadki.

A teraz, m. p., do rzeczy samej!

(Głosy: aha! u Polaków.)

Przypuszczałem, że pan interpelant będzie mógł przytoczyć jakie rozporządzenie moje lub które z naddyrekcyi pocztowych w owych okręgach, które spowodowały owe zajścia. Ale ja mogę przedłożyć wysokiej izbie dowód wręcz przeciwny.

Ze strony naczelnego urzędu pocztowego Rzeszy — to chciałbym powiedzieć panu preopinantowi — faktycznie nie dano najmniejszego powodu do tych zarzutów. Raczej panowie nas prowokowaliście.

(Wielki niepokój w centrum i na lewicy.)

A teraz chciałbym — panowie nie weźmiecie mi tego za złe, bo to także poruszono w interpelacyi — poruszyć niektóre punkta. Najprzód co do adresów, to nawet polskie nazwiska są nam niezrozumiałe, ponieważ w języku polskim są końcówki deklinacyjne. Mam tu n. p. adres przed sobą, przeznaczony do jakiegoś pana Maya, a właściwie do pana May. Możnaby uważać, że on jest adresowany do pani May.

(Protesty i ogromny śmiech u Polaków.)

To są przecież zmiany w nazwisku, których większość naszych urzędników bez kwestyi nie rozumie. Widziałem się dzisiaj przypadkiem z innym jeszcze panem, który mi inne podał tłomaczenie.

Zapewne, że to z tematem nie ma nic wspólnego; chciałem tylko pokazać, z której strony wychodzą zaczepki.

(O! o! i niepokój w centrum i na lewicy; bardzo słusznie! na prawicy i u nacyonalliberałów: dzwonek marszałka.)

Marszałek: Panowie proszę o spokój! Pan sekretarz stanu ma prawo mówić i być wysłuchany; potem macie panowie prawo mu odpowiedzieć.

Podbielski mówi dalej: A co jest szczególniejsze w tej sprawie, że głównym inicyatorem w tym sporze, który — i to przyznają mi także panowie z frakcyi polskiej — dostarczył w ostatnim czasie alarmujących wieści prasowych ten ktoś, co ma dobre niemieckie nazwisko, jest nim p. Biedermann z Poznania, wydawca „Pracy" (Wesołość).

Wczoraj wieczorem przedłożono mi pewne pismo, według którego mieliśmy wydać rozporządzenie co do polskiego języka u naszych urzędników. Mogę zapewnić, że nie wydano żadnego rozporządzenia. A więc, m. p., sądzę, że dowód jest oczywisty. Zarząd poczty Rzeszy znajduje się stanowczo w stadyum obrony. Nie wydałem żadnego rozporządzenia i spotka mnie może zarzut w tym kierunku, że nastąpił stan niepewności, to znaczy, że tam list przyjęto, a tam odrzucono. Nie chciałem mięszać się do tego sporu; gdybym to był uczynił, powiedzianoby mi: dlaczego niepotrzebnie podnieciłeś tę sprawę? Teraz, gdy nic nie uczyniłem i powiedziałem tylko: staniemy po prostu na gruncie przepisów — zarzucają mi.

Ale m. p., przyznacie mi, że jeżeli takie rzeczy zachodzą, iż dla niedokładnych polskich adresów przy okienku pocztowem odbywają się długie rozprawy, że na tem cierpi służba. Urzędnicy mudzą sobie przez takie rozprawy, a reszta publiczności na tem cierpi. Powiadam raz jeszcze: tu chodzi tylko o sprawę agitatorską. Wyście tego nie spowodowali, was tylko mem zdaniem pchają, agitacya wyszła z innej strony. Musicie przyznać: cesarski zarząd poczty nie odrzucał dawniej żadnego listu i nie będzie też i w przyszłości żadnego listu odrzucał, jeżeli ustanie agitacya z waszej strony, jeżeli nas nie będziecie zmuszali robić wszystko możliwe, czego nie możemy zrobić i co musi szkodzić służbie. I dlatego mogę panów tylko prosić o ogłoszenie mojej mowy w swoich pismach. (Czynimy to niniejszem, ale wątpimy, czy p. Podbielski będzie kontent z wrażenia, jakie ona wywoła u publiczności naszej! (Przyp. Red. „Pracy.")

Mowa posła **Roerena** z centrum.

Zwracam się najprzód w paru słowach do wywodów p. sekretarza stanu, o których niestety muszę powiedzieć, że one mi po większej części pozostały niezrozumiałemi.

Pan sekretarz stanu bronił zasady, że władza pocztowa tylko tych listów i porze syłek nie ma ekspedyować, które dla niedokładności są niedoręczalne. Tak, to jest właśnie ta zasada, z której interpelacya wychodzi. Interpelacya twierdzi, że właśnie przeciw tej zasadzie wykracza naddyrekcya poczty w Poznaniu, ponieważ nie ekspedyowano listów i przesyłek z zupełnie wyraźnymi adresami li tylko dlatego, że one zawierały parę słów polskich.

(Głosy: Tak jest!)

Pan sekretarz stanu powinien był zwrócić się przeciw wykroczeniom przeciw owej zasadzie. Dalej powiedział, że ludność polska sama prowokowała postępowanie naddyrekcyi poczty. Nie wiem, czy to jest prawdą, czy nie jest prawdą. Nie chcę też rozstrzygać, czy, jeżeli Polacy to uczynili, było z ich strony praktycznie, czy nie. Ale tu nie chodzi wcale o to, kto i czy postępowanie naddyrekcyi poczty było prowokowane, tylko li tylko o to, czy to postępowanie, choćby było prowokowane, jest prawne, czy niem nie jest,

(bardzo słusznie!)

a na to pytanie pan sekretarz stanu wcale nie dał odpowiedzi. Jedyne, co jest jasnem, to zapewnienie pana sekretarza stanu, że te środki nie były przez niego dekretowane. Ale z tem się znów nie zgadza, że pan sekretarz stanu nie chce tego postępowania naddyrekcyi poczty tutaj gruntownie i raz na zawsze zrektyfikować.

(Żywe potakiwanie).

Mości panowie, przypadki przytoczone tu przez pana preopinanta są przecież — tego chyba nikt tutaj nie zaprzeczy — tego rodzaju, że właściwie trzebaby je uważać za niemożliwe (unglaublich),

(bardzo słusz ie!)

że chciałoby się sądzić, iż nam tu opowiedziano nieprawdziwe historyjki, gdyby pan interpelant przez przytoczony materyał nie był ich rzeczywiście udowodnił.

O cóż bowiem chodzi w tych wszystkich przypadkach? W szczegóły nie będę się wdawał: Listów, które zawierały może ważne doniesienia, paczek z rzeczami, ulegającemi zepsuciu, przesyłek pieniężnych itd poczta nie wydaje adresatom i traktuje je jako niedoręczalne, ponieważ obok wyłącznie tu pocztę obchodzącego zupełnie wyraźnego i pewnego oznaczenia odbiorcy i dokładnego i pewnego oznaczenia mieszkania, umieszczoną była jeszcze sama w sobie zbyteczna i obojętna tytulatura nie w niemieckim tylko w polskim języku.

Tak, to jest przecież postępowanie — żeby li tylko dlatego nie ekspedyować listu, ponieważ on, prócz pewnego oznaczenia odbiorcy i miejsca przeznaczenia, zawiera jeszcze może polską tytulaturę, — postępowanie, którego w innych prowincyach nie można sobie wcale wyobrazić, które jednak bardzo wymownie pokazuje nam, na co wszystko pozwalają sobie podrzędne organa przy nowym

kursie polskim przeciw polskiej ludności — naturalnie w interesie skuteczniejszego zwalczania „wielkopolskiej agitacyi“.

M. p., że faktycznie niewyraźny i niedokładny adres jest powodem niewydawania listów i przesyłek, tylko wyłącznie ta okoliczność, że się jedno polskie słowo znajduje na adresie, to stwierdził jeden z kolegów z frakcyi polskiej w drastyczny sposób. Opowiedział mi on codopiero o następującym wypadku:

Przychodzi do niego list z zupełnie dokładnym adresem. Jest on jedynym tego nazwiska w owej miejscowości; ale na adresie znajduje się zamiast niemieckiego „Seiner Hochwohlgeboren“, to samo znaczące polskie słowo „Wielmożny“. Listu mu nie doręczono,

(słuchajcie! słuchajcie!)

chociaż — powtarzam — on sam jeden nosi to nazwisko w owej miejscowości, więc o wątpliwości co do identyczności adresata i odbiorcy wcale nie może być mowy. Prosi tedy nadawcę listu, żeby mu przysłał ten sam list z tym samym adresem, ale w języku angielskim. To się dzieje. Zamiast więc „Seiner Hochwohlgeboren“ lub „Wielmożny“, figuruje na adresie tytuł „Right Honourable“. Listonosz przynosi ten list adresatowi i oddaje go jako rzecz zupełnie w porządku i bez wszelkich uwag.

(Wesołość.)

Odbiorca zwraca listonoszowi uwagę: „Przecież to zupełnie inny język na liście, to jest po angielsku, co pan rozumiesz z tego?“ „Nie, nie rozumiem z tego ani słowa“, odpowiada listonosz.“ „Tak, ale jak pan w takim razie możesz ten list oddać właściwemu adresatowi?‘ — pyta dalej tenże. „Ależ, pan jesteś jedyny tego nazwiska w tej miejscowości i dlatego pan jesteś adresatem i dlatego list oddaję“ —

(Wielka wesołość.)

brzmiała odpowiedź. M. p., ten sam list cofnięto jako „niedoręczalny“ li tylko dlatego, że zamiast niemieckiego lub angielskiego tytułu był na nim polski. Z tego wynika jasno, że tu się nie postępuje według zasad, na które się codopiero tutaj powoływał pan sekretarz stanu: że tylko nie ekspedyuje się listów i przesyłek, gdy adresata nie można stwierdzić lub znaleźć, — tylko, że się listów li tylko dlatego nie ekspedyuje, ponieważ zamiast niemieckiej, angielskiej, francuskiej, włoskiej tytulatury znajduje się na adresie polska.

Nie chcę rozprowadzać tej rzeczy jeszcze więcej, powtarzam tylko: że postępowanie poczty w tych przypadkach zwraca się przeciw zasadom i praktyce ogólnego naszego światowego ruchu pocztowego, zwraca się przeciw wyższym przepisom naszej własnej ordynacyi pocztowej, mianowicie szkodzi niezmiernie poczcie naszej

(bardzo słusznie)

a przedewszystkiem — zawiera krzyczącą niesprawiedliwość przeciw polskim naszym współobywatelom. Aż dotąd uchodziła poczta nasza słusznie, zwłaszcza ekspedycya listów i paczek, jako najszybsza, najdokładniejsza i najpewniejsza w świecie, i przez tę to dokładność i pewność cieszyła się u publiczności wielką popularnością i życzliwością. Tę pewność okazywała nasza administracya pocztowa w najwięcej politycznie drażliwych czasach, trzymała się zawsze z daleka od tego, aby jakiekolwiek stronnictwo polityczne miała karać nie dość pewnem lub szybszem załatwianiem ich przesyłek pocztowych. Jeżeli obecnie w przeciwieństwie do tego pewne organa, składające się z niższego rzędu karyerowiczów chcą działać inaczej i ofiarują się na pomagrów najdzikszego „hakatyzmu“ (bardzo słusznie)

to, sądzę, byłby czas, aby szef administracyi pocztowej pouczył tych ludzi gruntownie i im raz na zawsze jasno wytłomaczył, że poczta nie jest na to, aby się trudniła polityką i pozwalała się nadużywać do celów politycznych, tylko na to, aby pełniła swój urząd.

(Bardzo słusznie!)

i pośredniczyła objektywnie w kraju w ruchu korespondencyjnym bez względu na czasowe prądy polityczne

(Żywe oklaski)

Sekretarz stanu p. **Podbielski:**

Sądzę, że pan preopinant będzie musiał mi przyznać, że w czasie mego czteroletniego urzędowania nigdy polityka nie decydowała w niczem przy przepisach administracyi poczty Rzeszy,

(protest na lewicy)

lecz, że starałem się zawsze przedstawić się bezstronnym i objektywnym. Ale dalej, M. P., — w tem przyznaję słuszność zupełną panu poprzedniemu mówcy — nie uważam tego za słuszne, aby zwyczajny list zatrzymywano z przyczyn, jakie przytoczył i mogę tylko powiedzieć to, że świeżo doszedł do mej wiadomości jeden jedyny przypadek z takim listem, dzisiaj dowiedziałem się o dalszym takim przypadku. Co do zwyczajnych listów zresztą nie wiem na razie o innem jeszcze zażaleniu, ale — i to chciałbym wyjaśnić panu preopinantowi — inaczej mają się rzeczy z listami, za które administracya poczty bierze na siebie gwarancyą. Zdaje mi się, że jak sędzia przy rozprawach trzyma się ściśle litery, aby akt dokonywał się tak, iżby go nie spotkał żaden regres, tak samo i my musimy być ostrożnymi, aby nas nie uczyniono odpowiedzialnymi za omyłki. To, zdaje mi się, będzie musiał mi przyznać właśnie ostatni pan mówca. Przy wręczaniu wymienionych przesyłek musimy być bardzo ostrożni i ztąd też moja prośba, aby na wszystkich przesyłkach z gwarancyą adres oznaczał zupełnie jasno odbiorcę i miejsce przeznaczenia.

Mogę podnieść tylko to jedno, że starałem się wykazać wysokiej Izbie, że administracya poczty bynajmniej nie wystąpiła zaczepnie, przeciwnie! A tu konstatuje się, że urządzamy nagle dziką nagankę na napisy przesyłek pocztowych!

Dep. **Kunert** (soc. dem.):

M. P. Zapatrywania pana poczmistrza nie ostoją się też ogólnie. Przypominam szereg orzeczeń, jakie padły w toku jego mowy. Skarży się on naprzykład na brak dobrych adresów. Sądzę przeciwnie, że wszystkie przesyłki pocztowe, popierające interpelacyą, które złożono na stole Izby, właśnie odznaczały się adresami bez zarzutu.

Pan Podbielski zaznaczył, że zachodzi wielki brak po polsku mówiących urzędników pocztowych, że dlatego nie można uczynić zadość w dostatecznej mierze życzeniu Polaków. M. P. I tutaj już dowiedziono czegoś przeciwnego: jeżeli chwilowo zamało jest urzędników, którzy władają polskim językiem, natenczas władza ma obowiązek ustanowić odpowiednich urzędników.

M. P. nie usłyszeliśmy z ust pana ministra poczt tego, że poczta jest i ma pozostać instytucyą neutralną; to jest przecież najmniejsze, cobyśmy byli u niego uznali bezwarunkowo. Toż żyjemy niby to w wieku komunikacyi, a nie w wieku utrudniania komunikacyi.

Pan minister poczt, niestety, jako przełożony swych podwładnych, stał się zarazem pomocnikiem policyi pod względem irytującego i szykanującego postępowania. To nie jest tak bardzo szkodzeniem polonizmowi, ile raczej okropnem zblamowaniem urzędu pocztowego Rzeszy.

Panu ministrowi poczty chciałbym jeszcze w uzupełnieniu przypomnieć niejedno. Zdaje się on uważać niemczenie polskich nazw za rzecz tak nadzwyczajnie łatwą. Prypominam mu *znane nazwisko Podbielski.* Co znaczy to nazwisko? Znaczy ono tyle, co *Unterweisser.*

(Wesołość.)

Nie wiadomo dobrze, czy ten Weisser jest rzemieślnikiem, który stoi pod rozkazami innego rzemieślnika, czy też Biały, który należy do białej rasy.

(Wesołość.)

Bądź co bądź, będzie krótkie, eleganckie przetłomaczenie na niemieckie nieco, a może nawet bardzo trudne.

M. P. Punkt wyjścia interpelacyi naszych polskich kolegów stanowi fakt, że władze pocztowe nie wyekspedyowały przesyłek wartościowych i zwyczajnych

istów. *Należy skonstatować z góry, że ten punkt wyjścia trzeba uważać za czysto zewnętrzny.* Władze pocztowe popełniły błędy, wydały rozporządzenia przeciw polskiej ludności. Znajdujemy się tedy w obec symptomatu. Spostrzegamy ogniwo w wielkim łańcuchu wyjątkowych rozporządzeń przeciw Polakom i w związku z tem czujemy cały łańcuch. M. P. To jest długi, ciężki łańcuch antypolskich ustaw wyjątkowych.

Przepisy wyjątkowe w tej dziedzinie napotykamy na każdym kroku. Przypominam tłumne wydalania dawniejszych czasów, jako też ustawy wyjątkowe nowszych czasów. Macie tam Panowie ustawę wyjątkową dla szkoły, wyjątkowe przepisy dla nauczycieli, dla uczniów, dla rodziców i z tem ręka w rękę idzie zwalczanie języka polskiego, gardzenie i maltretowanie języka ojczystego Polaków. Dalej, nie godzi się pomijać wkraczania w naukę religii i tem samem w religią, a zatem w całkiem wewnętrzną dziedzinę życia duchowego. M. P. W której dzielnicy znajdziecie takie wysyłanie ściągniętej do wojska młodzieży-rekrutów — jak w Poznańskiem? Co najwyżej może jeszcze w Alzacyi i Lotaryngii. A potem dwumilionowy kredyt ku wyrugowaniu polskości!

Ale tem, co moi przyjaciele polityczni chcieliby napiętnować najbardziej, jako ustawę wyjątkową i co musimy poruszyć przy tej sposobności, jest wykonywanie prawa zebrań, zniesienie wolności zbierania się. Wszystkie te niebywałe przepisy, jako też szykany i drażnienia w niekończącej się liczbie przedstawiają się jako jedna *sieć ustaw wyjątkowych,* jako nierozdzielny system, przeciwko któremu musimy występować stanowczo.

M. P. Ujarzmienie Polaków, rozbiór Polski, wszystko to wypadki niezapomniane, które muszą na wiek wieków przeszkodzić zbliżeniu się dręczonego narodu do jego dręczycieli. Jeżeli Polacy dzisiaj życzeń uprzedzać nie mogą, to w pierwszej linii winien temu sam rząd pruski i winne środki, jakich używał od rozćwiartowania Polski aż do dnia dzisiajszego.

M. P. Jedną z najtchórzliwszych, największych i najpodlejszych zbrodni jest zbrodnia, która się stała, kiedy trzech mocnych słabego napadło. W historyi to Polski i na Polakach tej zbrodni dokonano.

(Bardzo słusznie! w centrum i na lewicy.)

Jest to ta sama zbrodnia, jaka teraz dzieje się w południowej Afryce w obliczu całego chcącego być cywilizowanym świata, a którąt o zbrodnię wy Mości Panowie potępiacie i przeklinacie.

Cóż to tedy rząd dla polskiej ludności uczynił pozytywnego! Mógłby był uczynić niejedno. Coż naprzykład uczynił celem podniesienia społecznego polskich robotników? Nie uczynił też nic wystarczającego dla komunikacyi i handlu. Nic z tego wszystkiego co uczynić był powinien w myśl zasad równości, wolności i nowoczesnego sposobu myślenia!

Mości panowie! Tym sprzeciwiającym się sprawiedliwości i konstytucyi sprawkom, i temu bobrowaniu władz raz na zawsze koniec położyć trzeba. Najbliższym w tym celu krokiem jest jednolite przeprowadzenie ustawy państwowej, prawa zgromadzenia się i stowarzyszenia się, jako też prawa dotyczącego koalicyi. Tego brak nam wszystkim. (Niepokój i wołanie z prawicy: Do rzeczy!)

Mości Panowie! Dopomóżcie Polakom w ich ciężkiej niedoli, ale wspomagajcie ich dalej i w kierunku oznaczonej przezemnie ustawy!

(Niepokój na prawicy i u narodowo-liberalnych.)

Jeżeli to się stanie, wtedy odda się usługę nietylko jednemu poszczególnemu stronnictwu, tylko przez to pożytecznie współpracować będziecie zasłużonymi tak dla całego narodu jako i dla postępu kultury i cywilizacyi.

(Brawo! u socyalistów.)

Wicemarszałek dr. v. **Frege-Weltzien:** I to do rzeczy nie należy.

(Bardzo słusznie!)

Głosu udzielam posłowi księciu Radziwiłłowi.

Książę Radziwill: M. P. Wnieśliśmy interpelacyą ufając całkowicie w to, że jeżeli naród niemiecki dla przedstawicielstwa swego wybudował ten gmach potężny, w którym obrady się toczą, to że te potężne kamienie nabędą znaczenia dopiero skutkiem ducha sprawiedliwości, który będzie podstawą spraw w tej izbie roztrząsanych. Jeżeliśmy tedy w sprawie tej odwołali się na sąd niemieckiego przedstawicielstwa narodu i jeżeli ku ubolewaniu memu pan sekretarz stanu upatruje w tem sprzyjanie politycznej agitacyi najgorszego gatunku, to przeciw temu ja ze swej strony wystąpić muszę z oburzeniem.

Nie uprawiamy żadnej politycznej agitacyi, jesteśmy tylko szczerymi rzecznikami uczuć tej ludności, która nas tu przysłała, a która, tak jak pan interpelant słusznie wypowiedział, a szanowny poseł z centrum p. Roeren także wywodził, popadła we wielki, a usprawiedliwiony niepokój z powodu tychże środków administracyi pocztowej, jakie pan interpelant dowodami był poparł.

M. P. Wiem o tem bardzo dobrze, iż istnieje pewne interpretowanie urzędowego pojmowania król. pruskiego rządu, które zmierza do tego, iżby założeniem cesarstwa niemieckiego ludność wówczas polskich dzielnic Prus pozbawić tych praw, jakie miała dawniej w król. pruskiem pod względem mówienia językiem ojczystym.

Ale teraz - - jeżeli mam powrócić do przedmiotu interpelacyi — kwestya zaostrza się w tym kierunku: Język polski jest niechybnie językiem kulturalnego narodu Europy; kto w tej Izbie jakiekolwiek ma wyobrażenie o literaturze polskiej, pewnie przeciw temu nie wystąpi; — pytam się Was tedy, M. P., tak jak to już kolega Roeren był zauważył, czy mówienie tym językiem kulturalnym na kresach wschodnich cesarstwa niemieckiego ma być zabronionem dlatego, że język ten jest ojczystą mową w obcowaniu ludności, liczonej na miliony, a od lat 1000 tamże osiadłej? O to tutaj chodzi, a nie o nic innego. Sądzę, iż wystarczy tutaj pytanie to zadać, aby módz na nie odpowiedzieć. Pan kolega Roeren usprawiedliwił nasze zaufanie, iż my w parlamencie niemieckim znajdziemy oddźwięk, jakiegośmy się po nim spodziewali; ufam, iż i reszta mówców słuszność nam przyzna.

(Żywe oklaski).

Dep. ***Sattler:*** M. P. Pomimo retorycznych sukcesów p. posła Kuhnerta w dziedzinie ustawy o zgromadzeniach

(Bardzo dobrze! na prawicy.)

nie mogę iść jego śladem. Pominąłbym bardzo chętnie sprawę polską, gdyby ks. Radziwiłł z wielką powagą i z wielką pewnością siebie nie był wskazał na to jądro sprawy; zapytał on nas poniekąd: czy sądzicie Panowie, że dobrodziejstwo, dla którego państwo niemieckie zostało stworzone, nie ma się odnosić do po polsku mówiących Prusaków. Nie ks. Radziwille, tego zdania nie jesteśmy, aby po polsku mówiący ziomkowie mieli być wykluczeni od dobrodziejstwa, które państwo niemieckie ma popierać. Przeciwnie, sądzimy nawet, że dbamy o Wasze dobro najlepiej, starając się uczynić Was, o ile możności, Niemcami, abyście w pełnej mierze szczęśliwymi się czuć mogli w granicach państwa niemieckiego.

Poseł p. Dr. **Vonderscheer** (Alzatczyk) ma głos.

Dr. Vonderscheer: Moi Panowie. Ja wraz z kilku mymi kolegami poparliśmy powyższy wniosek naszymi podpisami. Nasi koledzy, panowie Polacy, nie mogli się od nas Alzatczyków niczego innego spodziewać, jak gorącego współczucia dla ich dzisiajszej sprawy.

(Brawo.)

Bo i my cierpimy od wielu lat; a choć nie w sprawach pocztowych, jak tutaj, to jednak w stosunku do innych publicznych instytucyi, i to jeszcze w większej mierze, aniżeli się to zaznacza w zajściach dziś omawianych.

Polityczne pobudki przeniklismy w tym wypadku od razu — wszakże odsłoniły

je też rozprawy dzisiejsze — a w niepomiernej części nawet osobiste wywody pana podsekretarza stanu. Zaznaczył on też, że rozporządzenia, któreby zniewalało urzędników do zachowania potępionego tutaj, nie wydał. Usłyszeliśmy wszakże z szczegółów dowodowych, dostarczanych nam przez p. interpelanta, że w dwóch czy trzech wypadkach naczelny urząd pocztowy Rzeszy przyswoił sobie decyzye organów podrzędnych i nie zmieniał ich.

Że zaś niższe władze z politycznych pobudek tak postępowały, jasnem jest jak na dłoni. Jak pan interpelant przytoczył z akt, uzasadnienie odmowy ekspedycyi pocztowej brzmiało tak: „wysyłki się nie uskutecznia, ponieważ adresowi zbywa na ścisłości i zrozumiałości.“ W wypadkach przytoczonych nam co tylko przez jednego z posłów polskich, znajdujemy uzasadnienie krótko i zwięźle opiewające, że *używanie polskiego języka* jest *niedozwolone.*

Oprócz powyżej wzmiankowanych — mówili także ze strony polskiej posłowie Dziembowski i Krzymiński. Rząd poniósł w interpelacyi sromotną porażkę. *X.*

Z blizka i z daleka.

Z całej Polski.

W niedzielę 27 stycznia, odbył się *w Poznaniu* imponujący wiec w sprawie samowoli poczty poznańskiej, która wyklucza polskie przesyłki.

Sala zapełniła się uczestnikami po brzegi, tak iż wielu stać musiało w sieni. Policyą reprezentował pan sekretarz Günther, tym razem w asystencyi policyanta.

W imieniu wszystkich podpisanych pod zaproszeniem na wiec, zagaił zebranie p. dr. W. Łebiński.

Okrzyknięty marszałkiem wieca p. poseł Głębocki, podziękowawszy za zaufanie, oznajmił obecnym, że sprawa nieprawidłowości popełnionych przez urzędy pocztowe w dzielnicy naszej, dzięki wniesionej interpelacyi zapowiada się dobrze, ale właśnie dlatego potrzeba spokoju i cierpliwości ze strony polskiej ludności, jakkolwiek słusznie rozdrażnionej. Prosi więc uczestników zebrania, ażeby w interesie dobrej sprawy unikali w przemowieniach wszystkiego, coby na nią ujemnie wpłynąć mogło i trzymali się ściśle przedmiotu, dla którego wiec zwołano, tj. kwestyi niewłaściwego i szkodliwego zachowania się urzędów pocztowych.

Słusznym życzeniom i względom marszałka odpowiedział w zupełności starannie i rozumnie obmyślany wykład p. Stefana Chociszewskiego. Z wiązanki trafnych spostrzeżeń i uwag prelegenta na szczególną wzmiankę zasługuje to, co powiedział o położeniu kupców i przemysłowców naszych wobec zakazu adresów polskich. Walka o byt — tak brzmiał odnośny ustęp odczytu — dla naszych kupców i przemysłowców jest wyjątkowo ciężką.

Ograniczani coraz bardziej w zakresie swego zarobkowania, bojkotowani przez ludność niemiecką i wskazani przeważnie lub wyłącznie na odbiorców polskich, muszą się stosować pod każdym względem do wymagań stawianych przez tychże odbiorców. Tym bardziej zaś z życzeniami właśnie polskiej publiczności liczyć się są zniewoleni, że podobno urzędnikom wszelkiej kategoryi przepisują dziś wyższe władze rządowe, ażeby ze składów i warsztatów polskich nic nie brali. Publiczność polska zaś żąda, ażeby do niej adresowano po polsku.

Jeżeli więc poczta polskie adresy odrzuca, to naraża na szwank egzystencyą naszych kupców i przemysłowców, już i tak zkąd inąd zagrożoną. Z długiego szeregu szykan pocztowych przytoczył mówca kilka najlepiej illustrujących złą wolę urzędników i szkodliwość ich postępowania.

Wyrazem ufności, że będziemy sami pamiętali o obowiązkach swoich i o obronie narodowej, że żadne, choćby stokroć gorsze zarządzenia, niż dotychchczasowe ustawy i reskrypty antypolskie nic nam nie zrobią prelegent zakończył treściwy i przedmiotowy wykład.

Z kolei przemawiał marszałek, p. poseł Głębocki, o wyniku akcyi Koła Polskiego w sprawie pocztowej. Przedewszystkiem — tak mówił — odnieśli Polacy w parlamencie wielkie moralne zwycięztwo; stanowcza większość parlamentu stanęła po ich stronie, a szef poczty, p. Podbielski, nie był w możności odeprzeć słusznych zarzutów, które ostrzej jeszcze posypały się z ust posłów niemieckich niż polskich.

Ale mimo tego wielkiego moralnego sukcesu, nie można na razie orzec, czy i w jaki sposób p. Podbielski dalszym nieprawidłowościom i szykanom pocztowym zapobiegnie, albowiem w odpowiedzi jego brakło stanowczego, jasnego oświadczenia. Co do zachowania się publiczności polskiej w tej zawsze jeszcze niepewnej sytuacyi, to radzi mówca, ażeby poszkodowani czy to zwłoką przesyłki, czy to niedostawą skarżyli, a we wszelkich wypadkach udawali się z zażaleniem do centralnej najwyższej władzy pocztowej w Berlinie.

Z kolei rozebrał marszałek kwestyą, czy język polski jest ze stanowiska prawego obcym — i wykazał, że język ten, jako krajowy, nie jest obcym, lecz że przeciwnie poczta powinna go znać i respektować. Dalej wyjaśnił p. poseł Głębocki stosunek pruskiego języka do „Ogólnego Związku Pocztowego“ (Weltpostverein). Tu okazało się, że „Union Postale Universelle“ nie zna ograniczeń językowych. Podług jej przepisów dozwolonym jest każdy z języków ucywilizowanych i ztąd poczta pruska ma obowiązek dostarczyć adresatowi wszelkie przesyłki z Paryża, Londynu, Petersburga, Warszawy, Rzymu... bez względu na to, czy takowe adresowane są po niemiecku, czy po francuzku, czy po angielsku, czy po rosyjsku, czy po polsku, czy po włosku... Ale poczta poznańska także i na tem polu postępuje tak, iż powstają ztąd dziwolągi. Pan Podbielski, słuchając tych wywodów posła Głębockiego, nie umiał na nie odpowiedzieć.

Pozytywny zysk rozpraw parlamentarnych polega i w tem że p. Podbielski oświadczył kilkakrotnie, iż żadnego rozporządzenia językowego dla poczty poznańskiej nie wydał, że poczty tej do dzisiajszego jej postępowania nie upoważnił, — czyli innemi słowy, że poczta poznańska dopuszcza się nagannej samowoli.

Pod punktem wolnych głosów przemawiali kilkakrotnie pp. dr. Szymański i dr. Antoni Chłapowski w kwestyi, jak teraz adresować mamy. Pierwszy z mówców sądził, iż ścisłych w tym względzie przepisów dawać nie można, pan dr. Chłapowski zaś radził, ażeby tytułów polskich na adresach nie zaniechać, bo równałoby się to częściowemu skwitowaniu z równouprawnieniem języka naszego w zakresie poczty, tej wielkoświatowej instytucyi. Pan Walery Łebiński poruszył słusznie sprawę ciągłego niemczenia nazw miejscowości, bałamutnego dla publiczności a utrudniającego czynności pocztowe.

Pan dr. Karchowski wspomniał o szowiniźmie coraz liczniejszych urzędników pocztowych, którzy Polakom zabraniają na pocztach rozmawiać z sobą po polsku i zalecał, ażeby Koło Polskie w chwili właściwej dopomniało się o powściągnienie chorobliwych takich zapałów antypolskich.

Wreszcie przyjęto wniosek p. dra Chłapowskiego, aby utworzyć biuro, zajmujące się pisaniem skarg w sprawie samowoli poczty poznańskiej i udzielaniem informacyi publiczności polskiej.

Ostatecznie wiec przyjął następujące rezolucye:

„Obywatele Polacy, zgromadzeni na wiecu dzisiajszym w Poznaniu:

1) uważają nie przyjmowanie i nie wręczanie przesyłek pocztowych z polskiemi napisami przez urzędy pocztowe za pogwałcenie praw ludności polskiej w rzeszy niemieckiej, noszące wobec stuletniej dotychczasowej praktyki przeciwnej znamię potępienia godnej tendencyi politycznej. Stwierdzamy, że z powodu tego panuje we wszystkich kołach ludności polskiej wielkie a słuszne oburzenie i zanosimy przeciw temu protest;

2) wyrażają zadowolenie z przebiegu i z rezultatu dotychczasowej akcyi parlamentarnej, mianowicie ze względu na to, że ogromna większość reprezentacyi narodowej niemieckiej stanowczo potępiła najnowszą procedurę pocztową wobec adresów polskich;

3) polecają wszystkim, którzy przez procedurę pocztową zostali pokrzywdzeni lub będą jeszcze pokrzywdzeni, zanosić zażalenia u władzy administracyjnej aż do najwyższej instancyi, jako też żądać odszkodowania na drodze skargi cywilnej.

4) Nadto więc dziękuje Kołu polskiemu za odniesione tak świetne zwycięztwo moralne w parlamencie niemieckim w sprawie postępowania poczty poznańskiej, która taką krzywdę zadała i szkodę wyrządziła uprawnionym interesom polskiej ludności — oraz dziękuje posłom i stronnictwom parlamentu, którzy za tą sprawą wedle sprawiedliwości się ujęli. (Brawo!)“

Cały przebieg wieca świadczył wy-

mownie o niezwykłem oburzeniu ludności polskiej na niesłychaną samowolę poczty poznańskiej — a że 1200 ludzi obradować mogło spokojnie i w największym porządku, świadczy to chyba wymownie o politycznej dojrzałości naszego obywatelstwa miejskiego. Obywatele poznańscy dumni być mogą z przebiegu imponującego tego zgromadzenia.

* * * *

Socyaliści w Poznaniu dali nowy dowód, jak obojętną im jest narodowa sprawa polska. Na wiecu przedwyborczym, który się miał odbyć na sali Bazarowej w ubiegłym tygodniu, a który miał zamanifestować jedność stronnictw polskich w Poznaniu i proklamować kandydaturę p. B. Chrzanowskiego, wystąpili socyaliści jako wrogowie narodowo-demokratycznego kandydata polskiego i jako wrogowie polskości. Doprowadzili oni do rozbicia wiecu.

Skoro przewodniczący komitetu pan Glabisz odczytał porządek obrad, zabrał głos socyalista Kasprzak i zapytał, czy będą wolne głosy, ponieważ on i jego towarzysze chcą przemawiać.

Przewodniczący odpowiedział, że pod wnioskami członków wolno będzie przemawiać, ale tylko uprawnionym wyborcom, to jest z powiatu zachodniego, a p. Kasprzak do nich nie należy, jako nie mieszkający w tym powiecie.

Słuszna ta odpowiedź wywołała burzę wśród socyalistów. Wraz z Kasprzakiem wykrzykiwali, że on ma prawo przemawiania, gdyż mieszka w Jeżycach, które należą do powiatu zachodniego.

Naprożno tłomaczono socyalistom, że Jeżyce należą do „Wielkiego Poznania", nie pozwolili się przekonać, lecz krzyczeli co gardła starczyło, miotając przytem wyzwiska. Hałas zaś wszczął się jeszcze większy, gdy przewodniczący odebrał głos Kasprzakowi. Wykrzykiwali: „Nikt nie ma prawa odbierać nam głosu", „To despotyzm, dyktatura", „My wam pokażemy" itp.

Panowie Glabisz i Szyfter uspakajali socyalistów, prosząc ich, aby nie zakłócali spokoju, wszystko naprożno. Chciał też przemawiać p. dr. Szymański, redaktor „Orędownika", ale go zakrzyczano i nie dopuszczono do głosu.

Wśród takiego hałasu zabrał głos pan mecenas Bernard Chrzanowski, który był szczęśliwszym, bo go przynajmniej wysłuchano w spokoju. Objaśnił, że w myśl regulaminu wyborczego odbywają się trzy zebrania wyborcze: jedno dla powiatu zachodniego, drugie dla powiatu wschodniego, trzecie dla miasta Poznania. Na to ostatnie zebranie mogą socyaliści przybyć i przeforsować, jeśli im się uda, swoich kandydatów, ale dziś prawo to im nie przysługuje, bo to zebranie wyłącznie dla wyborców powiatu zachodniego.

Socyaliści wszczęli znowu hałas, zapowiadając, że na wszystkie zebrania stawią się i przeprowadzą swoje żądania.

Przewodniczący raz jeszcze próbował przywrócić spokój, ale go zakrzyczano, co widząc reprezentant policyi, p. Portasiewicz, zebranie rozwiązał.

Tego właśnie socyaliści pragnęli, a radość swoją objawili okrzykami.

Tak się skończył pierwszy wiec, na którym solidarne społeczeństwo polskie miało zadokumentować tak długo oczekiwaną zgodę. Socyalistom tej krzywdy lud polski nie zapomni.

Także wiec przedwyborczy m. Poznania, zwołany na dzień 5 go b. m. na salę Bazarową, usiłowali zaraz na początku rozbić hałasami i burdami socyaliści, ale energiczny komitet wiecowy usunął ich ze sali wraz z ich prowodyrem, dekarzem Kasprzakiem.

Kandydatem na posła do parlamentu niemieckiego z m. Poznania wybrano w miejsce ś. p. radzcy Mottego jednogłośnie p. mecenasa Bernarda Chrzanowskiego z Poznania. Poprzestając dzisiaj na tej krótkiej wzmiance, odkładamy sprawozdanie z wiecu przedwyborczego m. Poznania do następnego numeru.

* * *

Smierć Satrapy. Feldmarszałek Hurko zmarł w swym majątku Sacharowo w gub. Twerskiej.

Józef, syn Włodzimierza, Hurko urodził się w roku 1828. Pochodził z rodziny szlacheckiej polskiej, rzymsko-katolickiego wyznania, osiadłej na Białorusi. Wykształcenie wojskowe odebrał w petersburskim korpusie paziów, gdzie przeszedł na prawosławie, mając lat 17. W roku 1846 wstąpił do wojska jako kornet huzarów, a w r. 1852 był już kapitanem piechoty i jako taki odbył kampanię krymską. W r. 1860 został fligeladjutantem cesarza Aleksandra II. a w rok później pułkownikiem. Po wzięciu „chlubnego udziału w zgnieceniu polskiego powstania w r. 1863" mianowany został dowódzcą pułku huzarów, a w cztery lata później generał majorem. Awansując szybko, został przy wybuchu wojny turecko-rosyjskiej w r. 1877 dowódzcą oddzielnego korpusu kawaleryi, tworzącego straż przednią całej armii rosyjskiej, kroczącej ku Bałkanowi. Wtedy odznaczył się sforsowaniem górskich przejść i dotarł do Adryanopola, zapewniając armii rosyjskiej posiadanie wąwozu Szypki.

Po wojnie mianowano go generał-gubernatorem Petersburga w r. 1878, jako generała kawaleryi. Gdy nihilistom udał się zamach na życie cara, Aleksan- II. w r. 1881, jego następca przeniósł go w stan rozporządzalności. Jednakowoż niezadługo, bo w r. 1883, car Aleksander III. powołał go na stanowisko generał-gubernatora warszawskiego, na którem pozostawał aż do r. 1894. Feldmarszałkiem mianował go w nagrodę zasług obecny car Mikołaj II. Odznaczał się on na tem stanowisku jako „perekińczyk" dziką nienawiścią do wszystkiego, co było polskiem, chcąc w ten sposób zatrzeć pamięć wypadków Petersburskich. Sekundowała mu w tem jego żona Marya Andrejewna, znana ze złego życia i grabieży, jakie popełniała w byłym zamku królewskim w Warszawie i u wszystkich bogatszych kupców Warszawskich, którym nie płaciła rachunków z zasady. Syn jego, aresztowany za rozbój we Francyi, odebrał sobie życie w więzieniu.

* * *

We Lwowie dnia 30-go stycznia odbyło się pierwsze przedstawienie dramatu byłego naczelnego redaktora „Pracy", a dotychczasowego naszego wiernego współpracownika, dra Rakowskiego p t. „Ocknienie" w tamtejszym teatrze miejskim. Autora po każdym akcie wywoływano i sztukę bardzo gorąco przyjęto. Następne przedstawienie odbyło się przy zapełnionym teatrze w niedzielę 3 go lutego. O przedstawieniu tem pisze w *„Słowie Polskiem"* pani G. Zapolska:

Pan Rakowski ma talent dramatopisarski. Odłączam tu w tej chwili ideę patryotyczną, która zwykle oddziaływa dodatnio na masy i dobrze dla autora usposabia publiczność. Poza myślą piękną, szlachetną, która, jak pochodnia, goreje od chwili podniesienia zasłony, aż po jej zapadnięcie zupełne — jest jeszcze nastrój, nie wywołany tanimi efektami tyrad, ale samą grozą chwili, jest to „coś" — co każe bardzo poważnie widzowi słuchać każdego słowa, wpadającego nie w sam mózg, ale dostającego się do głębi duszy. Ażeby wywołać wrażenie, musi być w autorze wielka wiara w to, co pisał — sztuka ta musiała powstać z gorącego i dobrego przekonania i przekonywała widzów o wierze autora.

I w tem właśnie tkwi objaw talentu, wydostający się zawsze mimo pewnej naiwności, usterki i wady na zewnątrz. Sztukę swoją mógł pan Rakowski napisać zręczniej, gładziej, mniej naiwnie — ale wtedy mogłabym powiedzieć, że pan Rakowski ma... zdolności. Tak, jak jest — w tym chaosie niedostatków, można śmiało powiedzieć, że pan Rakowski ma... talent.

Sztuka robiła wrażenie, młodzież na galeryi poczciwie rwała się do oklasków, w antraktach dyskusya była ożywiona— autora oklaskiwano serdecznie.

* * *

Z za Oceanu.

Gdzie nas niema! „Dziennik Chicagoski" z d. 14 stycznia zamieszcza ciekawą korespondencyą z Filipin, z której wyjątki podajemy:

„Lomboy Convent 5 grudnia 1901. Jest nas tutaj kilkunastu Polaków w wojsku amerykańskiem i piszę do Was, ażeby nasi znajomi dowiedzieli się, co tutaj robimy."

Żołnierz polski w wojsku amerykańskiem opisuje w dalszym ciągu kraj, zwyczaje mieszkańców i sposób, w jaki prowadzą Amerykanie wojnę z Filipińcami — wreszcie kończy żołnierz temi słowy:

„Nasza kompania od 13 miesięcy brała udział we wielu potyczkach, w których poległo 15 ludzi, a otrzymało rany 25. Później napiszę więcej."

Tak więc nasi rodacy przelewają krew na każdym teatrze wojny i to za obcą sprawę. *Z.*

Z TYGODNIA.

Cywilizatorzy pruscy w Chinach dopuszczają się na bezbronnych Chińczykach wybryków tak dzikich, jakich nie

powstydziłby się żaden dziki naród koczujący na stepach. Starają się oni być podobnymi do Hunnów i zrzuciwszy cały polor kultury europejskiej, ujawniają całą swą barbarzyńską i dziką naturę.

Z polecenia cesarza Wilhelma pojechał wraz z wojskiem do Chin malarz Rocholl, aby „uwiecznić“ tryumfy pruskiego oręża. Jak donosi on w swych listach, pobyt w Chinach wydaje mu się bardzo „interesującym“, ponieważ niezwykłe widoki pieszczą jego oczy: a mianowicie pozatykane na płotach głowy obcięte Chińczyków i chińskich kobiet. „Jeszcze długie ich warkocze sięgają ziemi“ pisze Rocholl — „a skóra na czaszkach już popękała i pozsychała się,“ Rosya tymczasem pozwalając napawać się Niemcom poczuciem zwycięzców przy ścinaniu i mordowaniu bezbronnych ofiar, zagarnęła całą olbrzymią prowincyę Mandżurję.

Sensacyą wywołało doniesienie londyńskiej gazety „Daily News“, według którego Rosya stara się na własną rękę zawrzeć pokój z Chinami i to na podstawie następujących warunków: 1) W Mandżuryi mają trwać i nadal rządy chińskie. 2) Urzędnicy rosyjscy mają prawo nadzorować całe wykonywanie administracyi przez urzędników chińskich. 3) Całe terytoryum Mandżuryi zostaje zwrócone Chinom. 4) Nadzór nad administracyą wojskową zostaje powierzony oficerom rosyjskim. 5) Wszystkie twierdze w Mandżuryi mają być zniesione i zrównane z ziemią. 6) Wszelka broń i amunicya wojenna ma być wydana Rosyi. Wprowadzenie do kraju nowej broni i amunicyi, oraz jej wyrób jest wzbroniony. 7) Regularne wojsko chińskie nie będzie w przyszłości wysyłane do Mandżuryi. 8) Nadzór nad kolejami rosyjskiemi będzie powierzony Chinom, które za koleje te będą odpowiedzialne. 9) Na wypadek wojny, Rosya zapewnia Chinom przyjście z pomocą.

Układ odnośny ma zastąpić podobno zawartą poprzednio ugodę, ktorą później cofnięto.

Gazety rządowe niemieckie, podając półgębkiem wiadomość o tem, nadmieniają, że nie przeszkadzano Rosyi w zagarnięciu prowincyi chińskiej, ponieważ Niemcy nie mają żadnych interesów w Mandżuryi. To oświadczenie równa się wyznaniu bezsilności polityków niemieckich.

W jednym szeregu z cywilizatorami niemieckimi postawić należy cywilizatorów europejskich w tak zw. kompanii wschodnio-indyjskiej. Obecnie wytoczono w parlamencie belgijskim opisy niesłychanych nadużyć Europejczyków, mianowicie Holandczyków, na wyspie Jawie. Były skargi na tę kompanię, że nieludzko postępuje z robotnikami i wogóle z miejscową ludnością — i że to jest przyczyną wojny, którą już 70 lat toczą tamtejsze plemiona z Holandyą. Powołano więc komisyę śledczą, która właśnie teraz złożyła swe sprawozdanie parlamentowi. Akt ten zawiera rzeczywiście opowiadanie o niesłychanie nieludzkiem postępowaniu kompanii. Miejscowa ludność ucieka w góry i niedostępne puszcze, aby uniknąć obowiązku pracowania w zakładach kompanii; odbywają się tedy zbrojne ekspedycye, obławy na robotników, a zdobyci w ten sposób jeńcy są zupełnymi niewolnikami; po robocie są oni przykuwani do jednego łańcucha, aby nie uciekli, lecz na to jest jeszcze skuteczniejszy a niewymownie dziki środek, zastosowywany jednak tylko do tych, którzy już raz uciekli, lecz byli schwytani; oto zastrzykuje się im pod skórę ropę tamtejszej choroby „beri“, która się objawia ranami w pachwinach. wskutek czego człowiek zarażony z trudnością powłóczy nogami i już uciec nie może. Pomimo takich sposobów, miejscowych robotników jest bardzo mało w zakładach kompanii, więc ona kupuje niewolników od chińskich piratów, napełnia nimi okręty na pełnem morzu i przywozi ich na Sumatrę, Jawę, Celebes i inne wyspy archipelagu. Chociaż kulisowie chińscy są bardzo niewybredni i mogą wytrzymać, czego nikt nie wytrzyma, jednakże z nędzy, brudu i okrutnego z nimi postępowania, mrą jak muchy. Z 464-ech chińskich jeńców, przywiezionych w czerwcu roku zeszłego umarło do listopada 384 ech. Na plantacyi Palenborg na Sumatrze z 800 Chińczyków umarło w ciągu siedmiu miesięcy 567-iu. Na plantacyi Redjang Lebong na Jawie co rok umiera 70 proc. robotników. Na Celebesie jest taki zwyczaj, że kiedy część robotników ucieknie, reszta bywa bita bambusami po piętach, dopóki dezerterzy nie zlitują się nad nieszczęśliwymi towarzyszami i nie powrócą. Nadto wszystko kompania stara się rozpoić robotników, bo wtedy dla porcyi wódki chętnie znoszą niewolę. Wogóle zarządcy kopalń i plantacyi prześcignęli w okrucieństwie słynnych z barbarzyństwa plantatorów w Wirginii. Podczas rozprawy nad tem sprawozdaniem podniósł deputowany Van-Cool, że zupełnie to samo dzieje się w koloniach innych państw i na dowód przypomniał znane postępowanie Niemców w Kamerunie, a Belgów w Kongo. Dodajemy że niełagodniej gospodarują teraz europejskie wojska w Chinach. Wogóle możnaby mniemać, że okrucieństwa, popełniane nie w chwili ślepego uniesienia, ale spokojnie, z rozwagą, dla zysku handlowego, albo z pobudek egoizmu narodowego, jak w Poznańskiem i jeszcze gdzieniegdzie, stanowią znamienną cechę teraźniejszej cywilizacyi europejskiej.

Jednym więcej przyczynkiem do tej „cywilizacyi“ pruskiej jest i to także, że gdy rząd zamierza zrzucić wały naokoło Poznania, jeden z wielkich organów berlińskich oświadcza na serjo, że przy obecnym stanie sprawy nie zrzucić, ale wzmocnić by należało wały, a na nich poustawiać najnowsze armaty, aby w razie rewolucyi w Poznaniu zburzyć całe miasto.

Prusacy poprostu głupieją ze strachu!

Dla urozmaicenia dzisiajszego przeglądu politycznego przytaczamy sprawozdanie z inauguracyjnej — awantury w parlamencie wiedeńskim, który od dwóch. tygodni już obraduje, a raczej ryczy i wyje — jak to już od lat czterech weszło w Wiedniu w modę.

Na pierwszem posiedzeniu prezydent gabinetu, dr. Körber, zabrał głos i oświadczył, że patentem cesarskim zwołany został parlament na nową sesyę, oraz, że cesarz zamianował prezydentem z wieku najstarszego z posłów, posła krakowskiego, dr. Ferdynanda Weigla. Po słowach Körbera powstała na ławach czeskich socyalistów narodowych wrzawa i szmer, ze strony niemieckiej przywołują ich do spokoju. Gdy wrzawa ustała, Körber odebrał od dr. Weigla przyrzeczenie poselskie.

Dr. Weigel objął prezydyum, z początku także wśród wrzawy pośród czesko-narodowych socyalistów. Jako prezydent z wieku powitał przedewszystkiem Izbę i zwrócił się do Izby z prośbą, aby go, jako nowicyusza na krześle prezydyalnem, popierała i użyczyła mu swych względów. Następnie powiedział: Pozwólcie mi, jako staremu posłowi, zwrócić się do was z koleżeńską prośbą: ogólnem jest życzenie, aby się wreszcie udało po długiej przerwie w pracach legislatywnych, pracę tę na nowo podjąć, aby stworzyć parlament zdolny i chętny do pracy. (Oklaski na lewicy.) (Czesko-narodowy socyalista Klofac woła: „Nigdy“)

Prez. Weigel mówi dalej: Oczekujemy od nowej Izby wiele zmian na lepsze. Należy zwrócić uwagę na to, że już od 4 lat nie uchwalaliśmy budżetu. Nasi wyborcy w całem państwie czekają, aby parlament obrobił i uchwalił tyle ważnych spraw.

Przykładem powinien nam być nasz najjaśniejszy pan, który nieustannie pracuje około dobra państwa. Niech Bóg błogosławi i darzy zdrowiem *ad multos et plurimos annos* naszego ukochanego monarchę. Łączcie się z okrzykiem, cesarz Franciszek Józef niech żyje! Izba trzykrotnie okrzyk ten powtórzyła.

Prez. Weigel: Muszę spełnić jeszcze smutny obowiązek, wspominając o śmierci królowej angielskiej Wiktoryi, która pra-

wie równocześnie ze zwołaniem rady państwa umarła.

(Niemieccy posłowie wołają: Niech żyją Boerowie! precz z Anglikami!

Wolf, który nie był obecnym na sali w czasie wzniesienia okrzyku na cześć cesarza, krzyczy teraz: „Precz z nędznymi Anglikami! Szmer i krzyki na sali. Gdy Weigel skończył, krzyczą Klofacz i Hrubi: „Czego nie mówisz po polsku albo po czesku!“ Wolf krzyczy: *„Wir werden noch mit euch fertig werden!“*

Dłuższy czas szmer na sali. Weigel przystępuje do odczytania formułki przyrzeczenia poselskiego. Posłowie składają przyrzeczenia w narodowych językach po kolei według alfabetu. Polacy mówią „przyrzekam,“ Włosi „prometto,“ Rusini „probituju,“ Czesi „ślibuje,“ Słowency „Cblubim.“ Nikt nie robi zastrzeżenia ustnego, gdyż pachnie to utratą mandatu.

Jeszcze po odbyciu kilku formalności uchwalono zamknąć posiedzenie. Czescy radykali krzyczą: *„Abzug Körber.“* Wolf krzyczy: *„Abzug alle.“*

Tak się skończyło pierwsze posiedzenie parlamentu!

I to w pierwszym roku 20-go stulecia!

Jak się skończy ta cała historya?

Niemcy dążą do przyłączenia się do Prus, Czesi do Rosyi, Słoweńcy i Kroaci do państw bałkańskich. Ogólny rozstrój ten niestety przypomina bardzo stan Polski przed pierwszym rozbiorem.

M. B.

PRZEGLĄD PRASY.

Znany literat i powieściopisarz polski, Bolesław Prus, zamieszkały w Warszawie, poświęca jeden ze swych wybornych feljetonów sprawie Polaków pod zaborem pruskim.

Pisze on mianowicie w **„Kuryerze Codziennym“** następujące trafne i jasne uwagi:

„Polacy wiedzieć powinni o tem, że są Niemcami i że zostaną nimi, dopóki orzeł pruski wzbija się na swych skrzydłach“. W taki sposób w pruskim sejmie rozpoczął wiek XX-ty, pruski minister spraw wewnętrznych Rheinbaben.

„Polacy są Niemcami i będą nimi, dopóki orzeł pruski wzbija się na swych skrzydłach“... Zaprzeczam słuszności takiemu zdaniu, albowiem po pierwsze: „orzeł pruski nie wzbija się na swych skrzydłach“, ponieważ nie jest ptakiem, tylko rzeźbionym czy malowanym symbolem — i po drugie kto wypowiedział rzeczownik: „Polacy“, nie może stawiać po nim wyrazów: „są Niemcami“, jak po wyrazie „Koło“ nie można stawiać słów: „jest kwadratowe“. Podobna bowiem kombinacya sprzeciwia się tak zwanym naczelnym zasadom logiki“.

„Zasad tych nie może lekceważyć żadna istota posiadająca umysł, ponieważ są one fundamentem wszelkiego istnienia a co za tem idzie i myślenia. A gdyby w elementarnej szkole pruskiej znalazł się uczeń, który powiedziałby: „sośnica jest dębiną“, szulmajster nazwałby go... nierozgarniętym chłopcem. Ale gdyby dzieciak, upierając się, dodał taki frazes: „sośnica jest i będzie dębiną, dopóki szyfrowe tabliczki nie przestaną chodzić z domu do szkoły“... nauczyciel odesłałby chłopca do rodziców i ostrzegłby, że z ich synem dzieje się coś niedobrego.

„Jest to komiczna strona rozpoczęcia nowego wieku przez pruski parlament, ale pod tym komizmem kryje się, nawet nie usiłując się ukrywać, rzecz całkiem poważna: nienawiść pruskich mężów stanu do polskiej narodowości.

„Cóż w takiem położeniu mają robić Polacy?... zapyta czytelnik.

„Bardzo wiele, a przedewszystkiem nie uważać podobnych wybuchów... za walkę. Niewątpliwie hakatyści toczą walkę, ale nie z Polakami, tylko z prawami natury. A w tym zatargu nie odniosą zwycięztwa, pomimo szumnych frazesów o honorze, Boskiej pomocy i t. d.

„Gdyby narodowość była ludzkim wymysłem, a jej poczucie kaprysem, trwałaby tak krótko jak pierwsza lepsza moda. Ale narodowość jest faktem psychicznym, społecznym i przyrodniczym, może nawet nie zawsze wygodnym, ale bardzo trudnym, prawie nie możliwym do odrobienia. Co tu począć, że ktoś urodził się np. blondynem średniego wzrostu?... On sam może wolałby być wysokim brunetem, ale i cóż z tego!... I co tu począć, że uczucia narodowe np. tęsknota do swoich ludzi i kraju są tak silne, jak głód, miłość, przywiązanie do dzieci, albo obawa śmierci?

„Co na to począć i czy podobna gniewać się na człowieka, że on lubi inne krajobrazy, inne dźwięki, inne zwyczaje, aniżeli ja?...

„Walki z narodowościami nie są wcale wynalazkiem hakatystów. Walczyli, ba! nawet chcieli wytępić Rzymianie żydów, Hiszpanie żydów i Maurów, Anglicy Irlandczyków, Niemcy Czechów, Turcy Słowian. I jakiż rezultat?... Żydzi i Maurowie istnieją, ale Rzym upadł, a Hiszpania osłabła. Słowianie istnieją, a Turcya chwieje się; Irlandczycy także istnieją a Anglia ma z nimi zgryzot co nie miara.“

Powyższe wywody znakomitego naszego pisarza naturalnie nie trafią do głowy hakatystów. Istnieje bowiem trafne przysłowie, które mówi, że kogo Pan Bóg chce ukarać, temu wpierw odbiera rozum — a on się już sam ukarze. Tak samo i hakatyści prowadzą obecnie państwo pruskie nad krawędź przepaści, przerabiając Polaków, a mianowicie prosty lud na zaprzysiężonych wrogów pruskiej korony i zwracając oczy udręczanego polskiego ludu ku Petersburgowi. Jest to agitacya niebezpieczna i hakatyści nie widzą, że przez wojnę z Polakami otwierają na rozcież wrota dla Rosyi.

Z kroniki wymysłów hakatystycznych przytaczamy za **„Gazetą Opolską“** wiadomość o nieprawnych szykanach władz policyjnych przeciwko polskim bibliotekom bezpłatnym:

„W ostatnim czasie zawezwały władze policyjne (amtowi) bibliotekarzy w Groszowicach i w Gosławicach pod Opolem, aby przesłali im spis wszystkich książek, które mają w bibliotekach. Tak bibliotekarz w Groszowicach jak w Gosławicach mają przeważnie książki z Towarzystwa Czytelni Ludowych w Poznaniu; biblioteki odpowiednie istnieją już od wielu lat i nikomu dotąd nie zawadzały. Teraz nagle zapytuje n. p. amtowy z Zawady (dokąd Gosławice należą), kto założył bibliotekę, jakie w niej są książki itp.

„Wobec tego oświadczamy, że bibliotekarze nie są obowiązani do podawania spisu książek amtowym. Towarzystwo Czytelni Ludowych w Poznaniu ogłasza wyraźnie w wskazówkach dla bibliotekarzy między innemi, co następuje:

„Karanym być może tylko ten, kto wie, że książka jest zakazaną, a mimo to ją wypożycza. Nasi bibliotekarze tego nie robią, bo skoro się dowiedzą, że książka jest zakazaną, już jej nikomu nie wypożyczają. Taki nakaz mają od zarządu, a jeśli ich nakaz nie dojdzie dość wcześnie, działają w dobrej wierze i karani być nie mogą.

„Ostatecznie mogliby być bibliotekarze karani jeszcze wtedy, gdyby podlegali prawu procederowemu, a przeciwko prawu temu wykroczyli. Ale nasze czytelnie prawu temu nie podlegają, dlatego, że są bezpłatne. § 43 prawa procederowego opiewa, że kto za opłatą pieniężną (gewerbsmässig) zajmuje się rozpowszechnianiem książek publicznie, musi mieć na to pozwolenie od władzy miejscowej. Ale tenże sam paragraf opiewa dalej, że kto w zamkniętym lokalu, a więc w swem mieszkaniu bezpłatnie (nichtgewerbsmässig) rozpowszechnia książki, nie potrzebuje na to od nikogo pozwolenia.

„Dlatego też niesłusznie żądają od bibliotekarzy naszych, żeby władzę miejscową (burmistrzów, komisarzy, wójtów, sołtysów,) zawiadamiali o istnieniu czytelni, albo podawali tejże władzy spis książek. Żaden zawiadowca bezpłatnej czytelni nie może też opłacać podatku procederowego. Podatek taki opłacać muszą tylko ci, co na swoją korzyść książki (gewerbsmässig) wyporzyczają — za pieniądze.

„Zatem też mowy być nie może o zakładaniu kar za niemeldowanie naszych bezpłatnych czytelni.

„Niema więc obawy najmniejszej o kary dla tych, którzy naszych wskazówek ściśle przestrzegają. Co najwyżej mogą im dokuczyć różne mitręgi z powodu rewizyi terminów. Na to nie ma rady i to trzeba cierpliwie a spokojnie znosić, aż, jak się spodziewamy, z góry nakażą, żeby te mitręgi ustały. Oto zarząd Towarzystwa usilnie starać się będzie i przekona kogo należy, że my zupełnie prawnie postępujemy, żadnych spisków nie knujemy i żadnych karygodnych stosunków nie utrzymujemy, a śmiało każdemu w oczy spojrzeć możemy. Nieprawdą też jest, żeby czytanie polskich książek w ogóle było zakazane. Nie wolno tylko rozszerzać książek, wyrokiem sądowym zakazanych, wszystkie inne wolno każdemu obywatelowi państwa czytać i rozszerzać, zwłaszcza też bezpłatnie.“

Trafne uwagi powyższe poddajemy do zastosowania się naszym czytelnikom. A z powodu często wydarzających się obecnie rewizyi w mieszkaniach prywatnych, zwracamy uwagę, że tylko na roz-

kaz piśmienny prokuratoryi policyant ma prawo wejść do mieszkania, lub ktokolwiek robić rewizyę może u obywatela Rzeszy niemieckiej. Więc w podobnych wypadkach należy zapytywać o piśmienne pozwolenie, a w razie jeśli rewidujący go nie okaże, należy bezwzględnie wyprosić go za drzwi, co karze nie ulega, a jest owszem obowiązkiem każdego dobrze myślącego obywatela. Policya wobec nas nie rządzi się żadną delikatnością — więc i my nie potrzebujemy okazywać jej względów.

„Gazeta Bydgoska“ pisze:

„Bydgoszcz. Dnia dzisiejszego stawał przed sądem w Bydgoszczy prezes Tow. Ludowego p. St. Tomaszewski, oskarżony za to, że członkowie tegoż Towarzystwa rozdawali na dniu 7 października w południe, na cmentarzu przed kościołem plakaty zapowiadające przedstawienie amatorskie „Błażek opętany“. Pan Tomaszewski bronił się tem, że cmentarz należy do władzy kościelnej, która dotąd zakazu rozdawania afiszy nie wydała, dalej ubolewał nad nieświadomością praw burmistrza bydgoskiego, który kazał policyantowi wejść na cmentarz i stwierdzić nazwiska rozdających, a potem mandat karny na 10 mk. podpisał, policyantowi zaś radził, aby tam nie wchodził, gdzie go nie proszą, ponieważ mógłby mieć nieprzyjemności. Sąd przychylił się do wywodów oskarżonego i uwolnił go od kary i kosztów. Był to właśnie 50 termin z rzędu procesów politycznych i prasowych, wytoczonych przeciw panu Tomaszewskiemu podczas jego dziesięcioletniej pracy na polu oświaty ludowej. — Jeszcze nie koniec na tem, gdyż naznaczono więcej terminów i to na 11. 12. i 18. b. m. Procesa sypią się więc niby z rogu obfitości i trudno obecnie przewidzieć, kiedy się to skończy.“

Artykuł **„Pracy“** o powinności Górnego Śląska zrzucenia z siebie jarzma centrowców, wywołał na łamach pism niemieckich prawdziwą powódź komentarzy i cytatów.

Polemikę w tej sprawie streszcza **„Dziennik Pozn.“** w następującej notatce:

„Polacy a centrum. Pod tym tytułem zamieszcza „Köln. Volksztg.“ (nr. 96) dłuższy artykuł, polemizujący z prasą narodowo-liberalną, która z ironiczną radością pisze o rzekomym zamiarze Polaków zerwania z centrum. Chodzi mianowicie o artykuł „Pracy“, która obliczyła, że Koło polskie łatwo może z 13 mandatów, które obecnie posiada, doprowadzić do liczby 25, jeżeli ludność polska zerwie kompromisy wyborcze z centrum mianowicie w Prusach Zach. i na Górnym Szląsku. Przy silnej samodzielnej agitacyi możnaby zdobyć 10 mandatów polskich w Księstwie, 7 w Zach. Prusach i 8 na Górnym Szląsku.

„Nawołując do umiarkowania obie strony, pisze „Köln. Volksztg,“ w końcu: „Gdziekolwiek mieszkają katolicy, wszędzie powinni się wystrzegać zbytniego niekatolickiego naprężenia idei narodowościowej. Dokąd to prowadzi, dowodem tego najnowsza historya Austryi. Jeżeli w Niemczech centrum i Polacy „wezmą się za łby“, to obie strony poszkodowane zostaną w najżywotniejszych swoich interesach. Jako parlamentarne stronnictwo straciliby na tem przedewszystkiem Polacy. Bo choćby im się udało odebrać centrum jeden i drugi mandat, to tego zysku nie zdoła wyrównać strata sympatyi, którąby była niewątpliwym skutkiem usiłowania zamachu na dotychczasowe centrowe okręgi wyborcze.“

„Gazecie kolońskiej“ nic na razie nie odpowiadamy — mamy bowiem zamiar niebawem wydać osobny numer poświęcony sprawie polskiej na Śląsku, a tam ocenimy owe „korzyści,“ jakie ma lud polski z wybierania posłów Niemców.

W jednym z ostatnich zeszytów „Wisły“ skończono dłuższy artykuł o ludności polskiej w ziemi chełmińsko-michałowskiej w Prusach podług spisu ludności z dnia 1 grudnia 1895 r. Wyniki badań streszcza **„Wisła“** w następujących punktach:

„1) Ludność polsko-katolicka i ludność niemiecko-ewangielicka w ziemi Chełmińsko-Michałowskiej były gruntownie z sobą zmieszane, i to tak, iż we wschodniej jej połowie, w pow. lubawskim, brodnickim i wąbrzeskim, stanowcza przewaga była po stronie ludności katolickiej (40,535 ew. i 106,825 kat.), w zachodniej natomiast, w pow. toruńskim, chełmińskim i grudziądzkim, niejaka przewyżka była po stronie ewangielików (103,610 ew. i 101,636 kat.). Ze wszystkich powiatów najwięcej katolicki charakter miał pow. lubawski, najwięcej ewangielicki — pow. grudziądzki.

„2) Miasta większe miały charakter przeważnie ewangielicki, miasta średnie i małe — przeważnie katolicki.

„3) W gminach wiejskich przeważała we wschodniej połowie ludność katolicka; w zachodniej - ludność ewangielicka. Gminy nie mieszane pod względem wyznaniowym były we wszystkich powiatach tylko wyjątkami.

„4) Majętności ziemskie wszystkich powiatów, z bardzo nielicznemi wyjątkami, były zasiedlone przeważnie przez ludność katolicką.

„5) Począwszy od r. 1871, punkt ciężkości obudwu zarówno wyznań przesuwa się zwolna ze wsi do miast. W wyższym wszakże stopniu ulega temu ruchowi ludność ewangielicka, i ztąd też przyrost ludności wiejskiej po wsiach jest wśród ludności katolickiej dwa razy silniejszy, niż wśród ludności ewangielickiej.

„6) Ekspansywność ludności katolickiej, mimo silnego wśród niej ruchu emigracyjnego, była większa od ludności ewangelickiej, która mimo poparcia ze strony rządu pruskiego przez kolonizacyę i inne środki wzmogła się niewiele co więcej od ludności katolickiej.

„Zważywszy zatem tylko na siłę liczebną, widoki ludności polsko-katolickiej w walce narodowej, która od r. 1886 toczy się w ziemi Chełmińsko-Michałowskiej, przedstawiają się dość pomyślnie. Ale w czasach tak udoskonalonych środków zaczepnych i odpornych, jakiemi są obecnie, ani w walkach orężnych, ani w walkach natury socyalno-ekonomicznej, liczba sama nie rozstrzyga jeszcze zwycięztwa.“

Jaki będzie koniec tej nierównej walki, na razie odpowiedzieć trudno. W każdym razie słusznie przypomina autor, że Deus mirabilis, fortuna mutabilis...

M. B.

Głosy od Przyjaciół.

Kolonia.

Szanowna Redakcyo!

Śledząc od niejakiego czasu ruch umysłowy w tutajszych Towarzystwach doznaję wrażenia, które znamiennie określić się daje zwrotem z „Dziadów:“

„Pusto wszędzie, głucho wszędzie, co to będzie, co to będzie.“ — Cała działalność na posiedzeniach ogranicza się wyłącznie na odśpiewywaniu znanych piosenek, odczytaniu ewangelicznym głosem jakiegoś artykułu i obmówieniu niekiedy kwestyi — zabawy.

Język, jakim się przeważająca część członków posługuje, do tego stopnia naleciałościami zeszkaradzony, że słysząc go po raz pierwszy, rodzi się mimowoli powątpiewanie, czy ci, którzy nim mówią, istotnie są Polakami, — przy tem atmosfera cała tak przesycona lękliwością, niezaradnością i biernością umysłową, że świeżo przybyły nietylko przygnębiającego doznaje wrażenia, ale na samym wstępie chęć traci do zawiązania dalszych stosunków.

I czemuż to nieszczęśliwe położenie rzeczy przypisać? Czy doprawdy niemiałoby być w Kolonii ludzi odpowiednich, którzyby mogli temu skutecznie zapobiedz przez odpowiednie traktowanie rzeczy? — Ale owszem, — są lekarze, inżynierzy, urzędnicy, kupcy, jest dużo rzemieślników, a ludzi roboczych, potrzebujących oświaty na setki.

I zdawaćby się mogło, że mając zastąpione tak rozmaicie stany i wykształcenia, życie w Towarzystwach kwitnąć powinno. Ale gdzież tam! – bo gdy się inteligentniejsi usuwają, zrażają byle błahostkami, kładąc każde słówko na szale doskonałości, a z drugiej strony własne przyjemności i wygoda tyle wymagają, że zapytani dlaczego Towarzystwom się nie udzielają, zbywają niczego nieusprawiedliwiającemi odpowiedziami jak: „panie jabym chętnie — ale nie mam czasu“, lub „co mnie z takimi ludźmi“ i t. p., to rzeczywiście niedziw, że wytworzyły się tak marne stosunki.

O niezrozumienie rzeczy posądzać niepodobna, bo w rozmowie potocznej zdarza się słyszeć najwspanialsze teorye, których niestety nie starano się ani w czyn prowadzić. A czemże teorya bez zastosowania? Czy nie martwym tylko czynnikiem nie przynoszącym korzyści ani jednostce, ani drugim?

Lecz nie tylko jedna strona zawinia, bo druga nie widząc poufałości, ściskania się za głowy, natychmiast upatruje sobie jakąś chęć wyróżniania się inteligentniejszych i powstawały owe szpilkowania ujawniające się w uwagach „wielkie pany“ itp., wskutek których niejedni z Towarzystw występowali i to właśnie ci, którzy ruch w nich podtrzymywali.

Prawda, że to wszystko smutne i przykre — lecz nadziei tracić nie trzeba, bo pragnienie za dobrem środowiskiem mieszka prawie w każdym, brak tylko siły i woli, której powinno być w takich sprawach jak najwięcej. Mówi nasze przysłowie, że „bez pracy niema kołaczy“ i oczywiście prawda to jedna z największych; niech się więc ockną ospali, niech nie słowem, ale czynem dowodzą, że są Polakami, niech utworzą z Towa-

rzystw skarbnice, z których każdy rodak tubylec czerpać z nich mógł tyle, aby nietylko były mu miejscem przyjemnego pobytu, ale dawały duchowo tyle, żeby wszelkie wpływy obce natrafiały na prawdziwą skałę, żeby dały mu poczucie prawdziwej „jedności“, na której polegają siły narodów.

Tyle w myśli przysłużenia się naszej sprawie wychodźczej i oby tych słów kilka nie były głosem „wołającego na puszczy.“ *T. Kor...*

Z chwili.

Chociaż Prusak już dwuchsetną
Dziś rocznicę święci,
Że na obcej „ziemi“ siedzi
Dotąd ma w pamięci.

Zabrał polski język z szkoły,
Wziął nam polski pacierz,
Co go w domu już dziecięciem
Wyuczyła macierz.

A teraz mu groźne nawet
(Śmiech to oczywisty)
W polski adres opatrzone
Nasze polskie listy.

Oj Prasaku, żal mi ciebie,
Głupia twoja mina,
Wszak ***list*** *stanowi* ***ziarno,***
Adres to łupina.

Więc ten ukaz, to chybiony
Strzał z germańskiej procy,
Sam list zniemczyć dziś Prusaku
Już nie w twojej ***mocy!!***

Gordziewicz.

Zwyczaje zapustne.

Czas przed Wielkim postem, poprzedzającym mękę Chrystusa i Jego Zmartwychwstanie, zowie się Zapustami, Zapustem lub Mięsopustem, inaczej Karnawałem, od *carne avaler,* mięso połykać, albo *carne levamen,* z mięsa się oczyszczać, a najpodobniej od *carne vale,* mięso żegnaj. Początek zapust stanowią kolędy, jasełka, szopki, chodzenie z gwiazdą, królem Herodem, kozą i wszelkiego rodzaju kolędowanie, którego właściwa pora od wigilii Bożego Narodzenia do Nowego Roku. Kościół ustanawiając 40 dni postu, wyłączał pierwotnie soboty, niedzielę a nawet czwartki: inni wyłączali także wtorki. Ztąd aby czterdzieści dni dopełnić, zaczynano post od dziewiątej niedzieli przed Wielką nocą, czyli mniej więcej na dni siedemdziesiąt. Niedziela powyższa, kończąca dawne zapusty, zowie się dotąd z tego powodu *starozapustną* lub *siedemdziesiątnicą* (septuagesima), a Mięsopust bywał z tej przyczyny znacznie krótszy, a właściwie wcześniejszy. W obrzędach kościelnych ślad zaczynanego od tej niedzieli postu dotąd pozostał. W Polsce Innocenty IV skrócił post wielki, pozwalając go zaczynać od środy popielcowej.

Zapusty są od wieków uprzywilejowaną porą wszelkiego rodzaju zabaw, widowisk, maszkar, uczt, wesołości i pustoty. Już u pogan rzymskich odprawiano w tym czasie bachanalie. Z nadejściem chrześcijaństwa, Boże Narodzenie i Nowy Rok dały powody do wesołości religijnej, a łakomy żołądek ludzki, w przewidywaniu długiego postu, wymyślił tłuste uczty i huczne pohulanki na pożegnanie dni zapustnych. Zapusty rozpoczęte suto i wesoło godami (tak bowiem w języku staropolskim zwano święta Bożego narodzenia i ostatnie dni roku), kończono równie suto i mięsno *ostatkami,* które zwano także *kusymi dniami* czyli *kusakami.* Ostatni czwartek zapustny, od tłustych biesiad zwano tłustym. Zapusty w Polsce były porą wesel u szlachty i porą słynnych kuligów. Król Władysław Warneńczyk na *zapusty* zaprosił do Budy Elżbietę wdowę po Albercie Rakuskim, gdy się z nią pogodził.

W broszurze z czasów Zygmuntowskich noszącej tytuł: Kiermasz Wieśniacki, albo rozgwara Kmosia z Bartoszem na Za-Wiślu, mamy podaną pieśń zapustną, którą jako dawny zabytek przytaczamy w całości:

MIĘSOPUST.

Mięsopusty, zapusty,
Nie chcą państwo kapusty,
Wolą sarny, jelenie,
I żubrowe pieczenie.

Mięsopusty, zapusty,
Nie chcą panie kapusty,
Pięknie za stołem siędą,
Kuropatwy jeść będą.

A kuropatwy zjadłszy,
Do taneczka powstawszy,
Po tańcu z małmazyą
I tak sobie podpiją.

Mięsopusty zapusty,
Nie chcą panny kapusty,
Wolałyby zwierzynę,
Niźli prostą jarzynę.

Jadłyby i kiełbasy
W te mięsopustne czasy,
A pod wieczór marcypan,
By go im dał jaki pan.

Za wszystko wdowie stanie,
Kiedy się jej dostanie
Do rozmowy młodzieniec,
Gotów jemu jej wieniec.

Po wielu domach szlacheckich — pisze Kazimierz Wł. Wójcicki, najwymowniejszy z domowych lub gości i odznaczający się dowcipem, w ostatni wtorek, włożywszy na siebie koszulę zamiast komży, pas zawiesiwszy na szyi, zamiast kapłańskiej stuły, stawał na stołku, przybitym do ściany, osłoniętym kilimkiem albo dywanem, niby w ambonie i prawił kazanie. Była to mieszanina anegdotycznych wspomnień, zdań i dykteryjek, z umysłu śmiesznie powiązanych lub związku z sobą nie mających, a zwykle okraszonych prawdziwym staropolskim dowcipem i złotym humorem, co wywoływało w gronie słuchaczy śmiech i niezwykłą wesołość. Niektóre tego rodzaju zabytki dochowały się w *dyaryuszach* domowych i silvach rerum, całe zaś obyczajowe obrazy scen podobnych skreślił Chodźko i Kaczkowki. Po takiem kazaniu, którego tok nie obrażał uczuć religijnych ani przyzwoitości towarzyskiej, następowała wieczerza mięsna, a gdy na pół-zegarzu północ uderzyła, wnoszono tak zwany „podkurek“ tj. śledzie, jaja i mleko, post wielki zaczynając.

Lud wiejski, na przestrzeni między Odrą, Karpatami i Dniestrem, nad Wisłą i Wartą, miał lub ma dotąd prawie jednakowy sposób kolędowania zapustnego, polegający na przebieraniu się za turów, niedźwiedzi, konie, kozy, żórawia, cyganów i t. p., i obchodzeniu chat i dworów, bądź w święta Bożego Narodzenia i w wigilię Nowego Roku, bądź w ostatnie dni zapustne.

Zoryan Dołęga Chodakowski, badający kraj i lud ten, już na początku bieżącego stulecia, słyszał jeszcze w Krakowskiem jedną z odwiecznych kolęd, o krasnej pani, która wyszedłszy na ganeczek i wyjrzawszy w szczere pole, zobaczyła zwierza tura ze złotemi rożkami. Zwołuje domowników i służki, aby osiodłali konie i dogonili tura. Złowiono go, a różki jego złote przybito w komnacie, na których zawieszono rysie, sobole, przepyszne ubiory i szable. Przytaczamy tu w całości dwie stare kolendy, spisane przed czterdziestu laty w Galicyi, przez Żegotę Paulego:

I.

Oj na gumieneczku, rośnie jabłoneczka;
Hej Leluja![1])
Na tej jabłoneczce, złote gałązeczki;
Na tych gałązeczkach, złociste listeczki;
A między listkami, złociste kwiateczki;
A na tych kwiateczkach, złociste jabłuszka;
A któż je oberwał? — Nadobna Anuszka;
Komuż ona dała te złote jabłuszka?
Jednoż ona dała swemu panu ojcu,
Drugie ona dała mojej pani matce,
Trzecie ona dała swemu panu bratu,
Czwarte ona dała swojej pannie siostrze,
Piąte ona dała temu co kochała,
Piąte ona dała, komu rozumiała.

II.

Na śród dworu jawor stoi; — hej Leluja!
Na jaworze złota rzęsa;
I przylecieli rajskie ptaszęta,
I otrzęśli złote, złote rzęsy;
I wybiegła nadobna dziewczyna,
I rozpuściła swój biały fartuszek,
I pozbierała złote, złote rzęsy,
I skoczyła do złotniczeńka.
— Złotniczeńku, rzemieślniczeńku,
Ulej-że mi złoty kubek.
— Któż ci będzie z niego pijał?
— Sam Pan Jezus z aniołami,
I Marya z dziewicami —
Nadobna dziewczyna z kawalerami.

W obrzędach kościelnych zapusty kończą się czterdziesto-godzinnem nabożeństwem dla przebłagania gniewu Bożego za niebacznych i wstrzymania wiernych od rozpusty, tudzież dla uczczenia męki i śmierci Chrystusa. Do dni zapustnych mamy następne przysłowia i wróżby:

W mięsopusty, żaden brzuch nie pusty.
Gdy w mięsopusty mrozy lub śniegi panują,
Wina i chleba mało obiecują.

Kiedy pada w ostatni wtorek
To ze lnem uciekaj na dołek (wróżba [suszy).
We wstępną środę zapuść brodę,
A żurek staw na murek.

Z. G...

[1]) Hej Leluja powtarza się w końcu każdego wiersza.

Krwawe Ofiary.

Powieść z francuzkiego

przez

F. de B.

(Ciąg dalszy.)

Tolbiac usiadł przy zielonym stoliku. Dżafer, tasując karty, rozmawiał ze swoją sąsiadką. Wreszcie wyjął z kieszeni pugilares, wydobył z niego paczkę banknotów i książeczkę czekową.

— Nie spodziewałem się grać dzisiaj — rzekł. — Mam przy sobie dwadzieścia tysięcy franków zaledwie, ale oto kiążka czekowa na Rotszylda... Proszę panów, a zwłaszcza panie, nie ograniczać gry do mojej skromnej gotówki.

Po tych słowach rozległ się szept zadowolenia.

Tymczasem indyjski bogacz wciąż wygrywał. Jego przeciwnicy, chcąc się odbić, podwajają stawki.

Pieniądze płynęły wciąż do niego. Po upływie dwóch godzin, Dżafer wygrał dwa tysiące liwrów i był wierzycielem kilku czarujących osóbek, które przysięgały sobie nie uiścić długu po śmierci. Herminia była mu winna conajmniej jedynaście tysięcy franków. Tolbiac przegrał z pięć. Arabela wcale nie grała, poprzestając na roli widza. Po skończeniu gry, zbliżyła się do Tolbiaca i szepnęła mu coś po angielsku, na co on odpowiedział:

— Że nie szachruje, za to ręczę. Znam się na tem, a nie spuszczałem z niego oka ani na chwilę.

Nabab, skromny po zwycięstwie, przyjął filiżankę herbaty z rączek miss Disney, ale wymówił się od kolacyi i pożegnał towarzystwo, zapowiadając się na przyszłe zebranie i obiecując dać rewanż.

Tolbiac odprowadził Dżafera do przedpokoju. Nabab wyszedł, a za nim jego czarny sługa w turbanie.

Pomimo koloru skóry, nie był on Murzynem, nie miał ani warg wywróconych, ani włosów wełnistych, odznaczał się przytem niezwykłą u Murzynów powagą.

Przez cały wieczór stał nieruchomo wśród groomów, lokajów i subretek, ani się uśmiechnął, ani okiem nie błysnął. Zresztą rozmowa była dla niego utrudniona, gdyż nie znał żadnego języka, oprócz swej gwary.

Ekwipaż nababa stał przed bramą. Dżafer wsiadł do niego ze swoim nieodstępnym Murzynem, konie pomknęły w stronę Grand-Hôtelu.

— No i cóż, panie naczelniku? — zapytał niewolnik nababa.

— Ha, mój chłopcze, nie żałuję wcale, żem był u tej damulki — odpowiedział bogacz akcentem czysto paryskim, takim zresztą, jakim wyrażał się jego Murzyn. Pociągnąłem za język Tolbiaca i dowiedziałem się wielu rzeczy ciekawych.

Gdyby który z gości Arabeli mógł był zajrzeć do głębi tego landa i podsłuchać rozmowę, powziąłby wątpliwości co do indyjskiego pochodzenia nababa.

Wytłómaczenie tej zagadki było łatwiejszem, niźli przeniknięcie tajemnicy „Damy Pikowej“.

Miłość rodzicielska zdolna jest dokazać cudów.

Dżafer, nabab Bahuru był „kreacyą“ p. Lecoqa ojca.

Stary policyant, postanowiwszy ratować syna, rozumiał, że nie może walczyć o jego głowę pod swoją własną postacią i wybrał nieznaną, zaciekawiającą. Rola była stosunkowo łatwą do odegrania, wymagała tylko grubych pieniędzy

Lecoq zrealizował w tydzień całą swoją fortunę. Wystarczała na koszty kampanii. Następnie udał się do Londynu i tam nabył papiery zrujnowanego i wydziedziczonego nababa, który przybył dla szukania szczęścia do Anglii.

Piédouche towarzyszył swemu zwierzchnikowi w tej wyprawie i przedzierzgnął się w intendenta Dżafera z Bahuru.

Obaj umieli przebierać się nie do poznania. Lecoq posiadał przytem rzadki dar zmieniania głosu; Piédouche, pozbawiony tej właściwości, musiał milczeć, a to milczenie nie dziwiło nikogo. Sądzono, że Murzyn zna tylko swój język rodzinny.

Lecoq przez te trzy miesiące zapuścił brodę, a że od lat czterdziestu widywano go zawsze wygolonym, ta broda zmieniała mu zupełnie fizyognomię.

Piédouche od czasów niepamiętnych nosił przystrzyżone wąsy; teraz je zgolił, pomalował sobie twarz, ręce i szyję na kolor brunatny i nadał twarzy cechę azyatycką.

Pod takiem przebraniem przedstawili się w Grand-Hôtelu i zrobili wielkie wrażenie.

Dzienniki doniosły o przybyciu nababa Bahuru do stolicy. Ani prefektura policyi ani ministeryum spraw zagranicznych nie powzięły żadnych wątpliwości co do jego osoby.

Sypał złotem prawdziwem, a wiódł życie, będące w zupełnej zgodzie z kodeksem.

Wybrał naumyślnie Grand-Hôtel na mieszkanie, albowiem w tym olbrzymim karawanseraju panuje ruch ustawiczny i wśród tłumów można wchodzić i wychodzić niespostrzeżenie.

Zajął wspaniały apartament na pierwszem piętrze i odrazu oświadczył, że zabrania służącym hotelowym przekraczać progu przedpokoju i że mu będzie usługiwał wyłącznie intendent, przezwany przez niego Alim.

Wiadomo powszechnie, że książęta azyatyccy niechętnie dopuszczają do siebie niewiernych, więc to oświadczenie nie zdziwiło nikogo.

Piédouche wyświdrował dziurki we drzwiach i ścianach i za pomocą tych punktów obserwacyjnych, badał czy przejścia są swobodne i czy wychodząc, może się z kim spotkać.

Dzięki tym ostrożnościom mógł nieraz wychodzić na miasto w skórze Francuza. Jeżeli, za powrotem, nie znajdował kurytarza pierwszego piętra pustym, to wchodził na wyższe piętro i czekał, aż dopóki będzie mógł wejść niepostrzeżenie do apartamentu Lecoqa, otwierając sobie drzwi kluczem.

Nie mógł tylko przebierać się za robotników i łobuzów, bo tacy nie są dopuszczani do wspaniałego hotelu; miał jednak mieszkanie na mieście i tam mógł dowoli zmieniać postać.

Ojciec Lecoq przez ostrożność wierny był dotychczas roli nababa.

Wszystko szło mu po myśli. I teraz był zadowolony z wieczoru.

— A więc pan naczelnik sądzi, że trzeba zwrócić uwagę na Tolbiaca — pytał eks-agent.

— Tak mi się zdaje, ale nie jestem jeszcze pewny. Za jedno tylko ręczę, a to, że ma on konszachty z Arabelą Disney. Kilka razy odzywał się do niej po angielsku. Rad jestem wielce, żem się podał za nababa z posiadłości francuskich. Gdyby Tolbiac sądził, że znam język, którym się tak chętnie posługuje, toby się miał na baczności. A tak zdradzi się wcześniej, czy później.

— Więc zamierza pan widywać go często?

— Jak najczęściej. Już połknął mój haczyk. Obiecał, że mi przyszle kogoś, kto mi dopomoże do odszukania spadkobierców majora O'Sullivana. Mam przeczucie, że cała tajemnica Tolbiaca leży w zabiegach o tę sukcesyę.

— W takim razie ów policyant angielski wcale nie jest sprytny. Pan naprzykład nie zwierzyłby się prefekturze, prowadząc jakie śledztwo na własną rękę, tak jak on.

— Tolbiac obawiał się, aby policya tajna nie wykryła jego zabiegów i nie przeszkadzała mu w robocie. Zresztą powiedział szefowi to tylko, co musiał. I ja wiem niewiele. Uderza mnie tylko zbieg okoliczności, że O'Sulivan, jego sukcesorowie, metresa Tolbiaca i zamordowana kobieta — wszystko to Anglicy. Tolbiac sam jest na wpół Anglikiem. Muszę naprzód wykryć potomków majora. Gdybym ujawnił, że Marya Fassit pochodzi od O'Sullivanów, reszta poszłaby gładko... Ale powiedz-że mi, czy Pigache widział Ludwika?

— Wiadomo przecie panu naczelnikowi, że nie wolno widywać więźniów w la Roquette bez specyalnego pozwolenia. Pigache nie ma wolnego wstępu do celi, jednak przy swoim sprycie ma codziennie wiadomości o panu Ludwiku. Zaprzyjaźnił się z jednym z dozorców więziennych. Kosztuje go to litr wina, co wieczór, ale warte jest cztery litry, bo żaden szczegół życia więźnia nie uchodzi jego baczności.

I tak naprzykład, dziś wieczorem o szóstej dozorca powiedział mu przy kieliszku, że p. Ludwik wciąż pisze.

— Pisze! — pochwycił ojciec Lecoq.

— Tak, podobno listy do tej biednej panienki z Boulogne. I pomyśleć, że to ja sprowadziłem na nią to nieszczęście, a i na pana także, i na p. Ludwika. Nieraz mam ochotę powiesić się z rozpaczy.

Zapanowało milczenie. Obaj mieli łzy w oczach. Wreszcie stary Lecoq zapytał:

— Czy Pigache nie mówił ci, ile czasu pozostaje do kasacyi?

— Podobno miesiąc. Dziś mamy 5-go maja... chyba, że sąd kasacyjny przyspieszy sprawę, w takim razie za tydzień...

— Za tydzień! — jęknął nieszczęśliwy starzec, — Bóg nie pozwoli, żeby zabili mojego syna, zanim go zdołam uratować. Przedewszystkiem trzeba mieć na oku Tolbiaca i wszystkie jego kreatury. Pamiętaj, jutro będziesz musiał tropić aferzystę, którego on mi tu przyszle, bo mu powiedziałem, że chcę rozdzielić swoją fortunę pomiędzy sukcesorów O'Sullivana i obiecał dopomódz w wyszukaniu tej rodziny. Ale zbliżamy się już do Grand-Hôtelu. Ja wchodzę w skórę nababa, ty stajesz się Alim.

ROZDZIAŁ II.

Nazajutrz, około trzeciej po południu, Dżafer siedział zamknięty ze swoim wiernym Alim i dawał mu wskazówki, jak ma się zachować przy spodziewanych odwiedzinach, gdy dzwonek rozległ się w przedpokoju.

Piédouche poszedł otworzyć, a ojciec Ludwika przybrał pozę, właściwą nababowi Bahuru.

Po chwili eksagent wprowadził do salonu osobę przysłaną przez p. Tolbiaca de Tinchebraj.

Był to jegomość brodaty, z rozczochraną czupryną, o twarzy pomarszczonej, jak ugotowane jabłko, ubrany nędznie w odzież za obszerną, jakby nie na niego skrajaną.

Nabab przyglądał mu się bacznie i doznał wrażenia, iż to indywiduum ma twarz sztucznie zmienioną i że występuje w roli sztucznej.

— Wasza książęca mość — rzekł nowoprzybyły głosem zdławionym — i wybitnym akcentem niemieckim — nazywam się Holtz, przysyła mnie tu p. Tolbiac.

— Tak, wiem — odpowiedział p. Lecoq z miną protekcyonalną. — Zechciej pan usiąść.

P. Holtz przysiadł na brzeżku fotelu, położył kapelusz na kolanach, zażył niuch tabaki, utarł hałaśliwie nosa w chustkę kraciastą i zaczął:

— Mości książę, p. Tolbiac wyłuszczył mi, o co chodzi waszej książęcej mości. Ja właśnie zajmuję się specyalnie poszukiwaniem osób nieobecnych i wynajdywaniem sukcesorów. Znany jestem ze świetnych rezultatów na tem polu. Mam więc nadzieję, że zdołam niebawem umożliwić waszej książęcej mości spełnienie jej szlachetnych zamiarów względem spadkobierców majora O'Sullivan.

— Mówiono mi istotnie, że jesteś pan zręczny — odparł Azjata, przedłużając naumyślnie rozmowę, aby módz się przyjrzeć protegowanemu Tolbiaca.

— Ja w interesach jestem otwarty, więc z góry uprzedzam, że takie poszukiwania są kosztowne. Trzeba prowadzić liczną korespondencyę, utrzymywać agentów, wyszukiwać akty i t. d.

— Rozumiem to — rzekł nabab, patrząc na wytłuszczony kapelusz imci pana Holtza

Gość zrozumiał to spojrzenie i niezmieszany niem ciągnął dalej:

— Wasza Ekscelencya myśli zapewne, żem za ubogi, aby takie sumy wykładać z własnej kieszeni. Otóż muszę wyprowadzić z błędu Waszą Ekscelencyę. Źle się ubieram, to prawda, ale gdybym był elegantem, nie wzbudzałbym ufności. Noszę wytłuszczoną odzież w obawie, żeby mnie nie wzięto za wielkoświatowego oszusta. Pomimo to jestem bardzo zamożny, a jeśli proszę waszą książęcą mość o zaliczkę, to tylko dlatego, że trzymam się pewnych zasad. Według mnie klient powinien opłacić wpisowe.

— Nie poróżnimy się o to — rzekł nabab z uśmiechem. — Czy dziesięć tysięcy franków zadowoli pana na początek?

Mówiąc to, z pod poduszki otomany wyjął plik banknotów.

— Najzupełniej — odparł p. Holtz. — Zresztą po wyczerpaniu tej sumy zdam waszej książęcej mości sprawę z jej użycia.

— Dobrze. Weź pan to na początek.

Nieznajomy wyciągnął chciwie rękę i wsunął banknoty w boczną kieszeń wytartego surduta, przyczem spuścił głowę i nabab po raz pierwszy zdołał dojrzeć jego oczy z po za ciemnych okularów.

— Dobryś! — pomyślał. Znam cię mój ptaszku! — a głośno dodał:

— Mogę się zatem spodziewać, że pan przyniesie mi niebawem pożądane informacye o krewnych przyjaciela mojego ojca.

Za dni kilka, Wasza Ekscelencyo, ale wpierw muszę jej zadać pewne pytanie.

— Ja zaś, zanim na nie odpowiem, muszę się oddalić na chwilę. Mam wydać polecenie mojemu intendentowi, a że rozmawiamy w języku niezrozumiałym, więc nie chcę pana narażać na wysłuchiwanie tych obcych dźwięków.

Powiedziawszy to uprzejmie, nabab wyszedł z salonu do przedpokoju, zaryglował przytem drzwi za sobą.

Ali stał na swojem stanowisku, jak wytresowany niewolnik, gotów był jednak każdej chwili przedzierzgnąć się w Piédouche'a.

Ojciec Lecoq zbliżył się i szepnął mu na ucho:

— Czy wiesz kto to taki?

— Wiem panie, że to agent Tolbiaca — odparł szeptem dawny nr. 29.

— Otóż nie, to sam Tolbiac.

— Niepodobna!

— Jestem pewny, że to on.

— No, to się umie przebrać, kanalia! Sam prefekt nie poznałby go w tej skórze.

— Tak, ale mnie trudno oszukać.

— Byle tylko i on pana nie poznał.

— Wątpię. Jeżeli wczoraj nie poznał mnie przy blasku czterdziestu świec, to dzisiaj tembardziej.

— Nie rozumiem poco sam przyszedł.

— Bo nie chce nikogo wtajemniczać w swoją intrygę i to mi dowodzi, że jestem na tropie właściwym. Słuchaj, ile potrzebujesz czasu, żeby się umyć, przebrać i stanąć na czatach przed hotelem?

— Kwadrans, panie naczelniku.

— Dobrze, ja go zatrzymam.

— A potem, jak wyjdzie, mam go tropić, prawda?

— Tak, nie spuszczaj z niego oka.

Nabab odryglował drzwi po cichutku i wszedł do salonu.

P. Holtz siedział wciąż na brzeżku fotelu; ujrzawszy nababa, wstał i wyprostował się, jak struna.

Dżafer skinął, że może zająć dawne miejsce i rzekł:

— Miałeś mnie pan o coś zapytać?

— Tak, mości książę; gdyby zamiast kilku sukcesorów majora, pozostał przy życiu tylko jeden, czy pomimo spadku, jaki otrzyma, wasza książęca mość będzie gotowa obdarzyć go swojemi dobrodziejstwami.

Nabab zadumał się, wreszcie rzekł:

— To mi nie przychodziło na myśl. Sądziłem, że rodzina, mając cztery gałęzie nie może wygasnąć tak szybko. Przyznam się panu, że wolałbym znaleźć kilku członków. Jestem dość bogaty, aby ich wszystkich obsypać złotem, a chciałbym zrobić więcej szczęśliwych. Lecz jeśli krew Sullivanów płynie w żyłach jednego tylko potomka, nie cofnę moich zamiarów.

Mówiąc to, rzekomy nabab przyglądał się rzekomemu aferzyście i spostrzegł, że to upewnienie było mu bardzo miłem.

P. Holtz wyprostował się, jak gdyby mu ciężar spadł z serca.

— Mości książę — zawołał — takie uczucia przynoszą zaszczyt Waszej Ekscelencyi. Teraz, gdy znane mi są jej intencye, przystąpię niezwłocznie do poszukiwań.

— Czy potrwają długo?

— Muszą się przeciągnąć, bo trudności są wielkie.

— Pytam pana o to, bo chciałbym załatwić tę sprawę jak najprędzej. Naprzód muszę powracać do kraju, a powtóre pilno mi uiścić się z długu, zaciągniętego przez ojca. To też zrobię panu pewną propozycyę. Nie umówiliśmy się dotychczas co do pańskiego honoraryum. Wyznacz pan sumę. Bez względu na jej wysokość przyjmuję ją z góry i dam panu dwa razy więcej, jeżeli z tym załatwisz się dajmy na to od dzisiaj za...

— Za miesiąc — przerwał agent.

— Wolałbym za dwa tygodnie.

— To termin bardzo krótki, postaram się jednak zadowolić Waszą Ekscelencyę. A nie tracąc czasu pożegnam ją.

Nabab spojrzał na zegar, a obliczywszy, że Piédouche zdążył się już przebrać, nie zatrzymywał p. Holtza, który rzekł powstając:

— Jutro przyniosę Waszej Ekscelencyi kontrakt do podpisania. Niech to waszej książęcej mości nie obraża: wierzę

jej na słowo, ale mam zwyczaj zawierać umowy piśmiennie.

I owszem, nie biorę tego panu za złe — odparł nabab z uśmiechem; — pozwalam nawet zasięgnąć wiadomości u Rotszylda i przekonać się, jak wysoką jest suma, mojego kredytu w tej firmie.

— To zbyteczne, Wasza Ekscelencyo. Muszę jeszcze wydać kwit na zaliczkę 10.000 fr.

— Dołączysz go pan do kontraktu.

Nabab wstał, dając tem do zrozumienia, że audyencya skończona.

Tolbiac — on to był bowiem we własnej osobie — ukłonił się do ziemi i wyszedł, zadowolony z rozmowy.

P. Lecoq odprowadził go do drzwi przedpokoju i widząc, że czarny intendent nie jest na swojem stanowisku, rzekł:

— Najwierniejsi słudzy psują się w Paryżu. Kwadrans temu, kazałem mojemu majordomowi wrzucić list do skrzynki hotelowej i jeszcze nie wrócił.

Gdy p. Holtz wyszedł, Piédouche czekał już na niego od pięciu minut.

Życie w wojsku, a potem w policyi nauczyło go zwinności. Zmieniać ubranie i skórę było dla niego fraszką. Ali przedzierzgnął się w spokojnego mieszczucha.

Należy dodać, że miał swoją ubieralnię, w jednym z pokojów apartamentu nababa: nie wpuszczał tam żywej duszy.

Szeptano nawet w hotelu, że zamykał tam na klucz bajaderkę przywiezioną z Indyi. W istocie schowane tam były peruki, mikstury, sznureczki, wody chemiczne. Piédouche umiał się niemi posługiwać po mistrzowsku.

I teraz, dzięki swej sztuce, zmienił się do niepoznania. Każdy wziąłby go za dobrodusznego obywatela, gapiącego się na ekwipaże zajeżdżające przed hotel.

Pomimo tych pozorów eks agent ani na chwilę nie spuszczał z oka drzwi wchodowych.

Po kilku chwilach ujrzał wysuwającego się pana Holtza i odrazu zauważył, że już chodzi inaczej, nóg nie przekrzywia i głowy nie spuszcza.

Zawcześnie, luby ptaszku. Nie domyślasz się, że ja cię widzę. Gdybyś znał się na swoim fachu, nie prostowałbyś się tak odrazu — powiadał sobie nr. 29 i szedł za Tolbiacem w stronę ulicy de la Paix. Niebawem fałszywy Holtz stanął i spojrzał na zegarek.

— Boi się spóźnić — myślał Piédouche. — Może wsiądzie do dorożki. Tem lepiej. Ze dwadzieścia stoi tutaj sznurem. Ja wskoczę do następnej.

Tolbiac wbrew tym przypuszczeniom, skręcił na ulicę de la Paix. Piédouche przeszedł na drugą stronę i udawał wciąż, że się gapi na przechodniów. W ten sposób minęli kilka ulic; Tolbiac nie spieszył się, szedł tuż przy murach, jak gdyby kryjąc się od promieni słonecznych.

Nagle na rogu ulicy d'Autin skinął na stojącą dorożkę i wskoczał w nią. Wehikuł pomknął w stronę placu Giełdowego.

Była to jedyna dorożka w pobliżu. Piédouche został z kwitkiem.

Ale nie darmo służył w piechocie w Kochinchinie, Senegalu, gdzie etapy są długie. Miał żelazne muskuły, płuca, jak miechy, nie myśląc dążyć za dorożką. Mógł ją łatwo ścigać, bo koń był lichy, ale utrudniały mu bieg obszerne spodnie, a przytem krok przyspieszony zwracał uwagę przechodniów i eksagent obawiał się, by go nie wzięto za złodzieja uciekającego.

Dobiegł jednak szczęśliwie do ulicy Richelieu; przed chwilą dorożka skręciła na jej rogu w stronę Carrousel.

Tu pościg był ułatwiony. Z powodu ożywionej cyrkulacyi, dorożka musiała nie raz stawać, a wtedy eks-agent tchu nabierał. Każdemu ktoby go chciał pytać, dlaczego biegnie, mógł odpowiedzieć, że pędzi za omnibusem. Jakoż kiwał na każdy, który miał wywieszoną tabliczkę: „Wszystkie miejsca zajęte". Tymczasem nie tracił nadziei, że ujrzy pustą dorożkę, ale spotkał taką dopiero na placu teatru Francuskiego.

Wsiadając, szepnął kilka słów na ucho woźnicy i wsunął mu w rękę garść srebrników. To ułatwiło porozumienie. Dorożkarz jechał trop w trop za wehikułem Tolbiaca i dotarł w ten sposób do Quai Conti.

Za mostem Austerlitz, fałszywy Holz wysunął głowę i rękę przez okno karetki i coś powiedział woźnicy, poczem ten skręcił na dworzec Orleański i stanął przy sali pasażerskiej.

Piédouche wysiadł ze swojej dorożki i za p. Tolbiacem wszedł w oszkloną galeryę, gdzie się kupuje bilety i oddaje bagaże, wsunął się w kącik i przypatrywał się ubogim podróżnym, siedzącym na swoich tłomokach.

Piédouche sądził, że Tolbiac zamierza odjechać pociągiem osobowym, lecz detektyw angielski, zamiast pójść kupić bilet, odczytywał nazwy stacyi, wypisane na ścianach.

Piédouche stojąc po za nim w pewnej odległości przyglądał się mu i nie mógł zrozumieć tego manewru. Nagle rozglądając się po galeryi, ujrzał dwie osoby, których nie spodziewał się tutaj zobaczyć.

Byli to węglarz i jego żona. Wchodzili, uginając się pod ciężarem materaców, rondli, statków kuchennych i rozmaitych sprzętów.

— Czy tutaj kupuje się bilety do Auvillac? — zapytał węglarz.

— Tak, za półtorej godziny — brzmiała odpowiedź posługacza kolejowego.

— Tem lepiej, będzie można co zagryść i przetrącić przed odjazdem. Prawda, Żaneto?

Węglarka otwierała usta dla zaaprobowania tego projektu, lecz natomiast z gardła jej wyszedł jakiś dźwięk chrapliwy.

Wlepiła oczy w kobietę wysoką, szczupłą, jasnowłosą, ubraną wytwornie, która wysiadła przed chwilą z eleganckiego powozu i zmierzyła ku kasie.

— Co tobie? zapytał mąż.

Lecz właśnie urzędnik kolejowy wezwał małżonków, by nie stali na przejściu, wskazując im poczekalnię trzeciej klasy.

Gdy mijali Piédouche'a usłyszał jak Żaneta mówiła do męża.

— Matko Najświętsza! Toż to służąca naszej sąsiadki, Angielki, ta, która znikła, jak tylko zamordowali jej panią.

— Pociąg odchodzi, proszę siadać! — zawołał szwajcar.

Jasnowłosa dama wzięła już bilet i zdążała w stronę platformy.

Piédouche zdziwiony okrzykiem Żanety, obejrzał się na tę, o której mówiła i stracił z oka p. Holza. Gdy znowu zwrócił się ku niemu, zobaczył już tylko jego plecy.

Rzekomy Holz przedstawił bilet szwajcarowi, który go przepuścił.

Tego Piédouche nie przewidział. Natychmiast popędził do kasy i stanął przed nią w chwili, gdy urzędnik spuszczał okienko.

Proszę o bilet — zawołał.

— Powinienem pana z kwitkiem odprawić — rzekł mu kasyer. — Krążysz pan tu od godziny i teraz dopiero w ostatniej chwili się zgłaszasz.

— To nie moja wina — wybełkotał Piédouche.

— No, prędzej: Dokąd? Która klasa?

— Ja... nie... nie wiem... Daj mi pan bilet tej samej klasy i tego samego miejsca, dokąd jedzie ten pan, który kupował bilet ostatni — zaraz po damie... blondynce.

— Więc to tak — zawołał kasyer i zamknął okienko przed nosem Piédouche'a, który zaczął walić pięściami w kratę.

— No, no, spokojnie, bo wezwę żandarma — rzekł ostro urzędnik kolejowy.

— Mówię panu, że muszę odjechać... Pociąg jeszcze stoi... Jeżeli pan nie chce mi sprzedać biletu, to proszę mi pozwolić wsiąść do pierwszego wolnego przedziału... zapłacę na miejscu.

— Dokąd?... Przecie pan nie wie, dokąd ma dojechać. Znane sztuki: Jesteś pan agentem policyi tajnej i ani myślę dopomagać w pościgu: to nie moja rzecz. Ten jegomość umknął, tem lepiej dla niego, tem gorzej dla pana. Trzeba było go pilnować, tobyś pan wiedział, dokąd odjeżdża.

Piedouche czuł, że kasyer może go brać za tajnego agenta, a z własnego doświadczenia wiedział, jaki wstręt agenci tajni budzą we wszystkich klasach społecznych.

Nagle przyszedł mu na myśl znakomity fortel.

— Mnie pan bierze za członka policyi, mnie — zawołał z oburzeniem. Ależ ja, tak samo jak pan nienawidzę tych szpiclów. Ścigam tego człowieka, bo chce uciec z moją żoną. Panie, na miłość Boską, puszczaj mnie.

— To co innego! — zawołał urzędnik, parskając śmiechem. — Ale cóż ja panu mogę poradzić.

— Powiedz pan szwajcarowi, żeby mi drzwi otworzył.

— To się już panu na nic nie zda, bo pociąg ruszył w tej chwili.

Stało się. Tolbiac odjechał niewiadomo dokąd.

— Dokąd idzie ten pociąg? — pytał Piédouche zrozpaczony.

— Do Orléans, ale zatrzymuje się po drodze na wszystkich stacyach, a jest ich dwadzieścia trzy. Radzę panu kupić sobie przewodnik kolejowy — rzekł drwiąco kasyer.

Albowiem, jeśli policyanci wzbudzają niechęć i pogardę, to zdradzeni mężowie budzą zwykle drwiny, a rzadko współczucie.

Kasyer wykręcił się na pięcie i odszedł, pozostawiając Piédouche'a w desperacyi.

Ale ochłonął z niej szybko, bo trzeba było złe naprawić. Przypomniał sobie węglarkę i natychmiast poszedł na salę klasy trzeciej.

Małżonkowie siedzieli w kącie na materacu i zajadali salceson, popijając go winem.

Trzeba było znaleść pretekst, żeby się do nich zbliżyć. Piédouche póty koło nich krążył, aż nareszcie zwrócił ich uwagę na siebie. Byli już trochę podnieceni winem i skłonni do gawędy.

— Przyglądam się państwu, bo założyłbym się, że jesteśmy z jednych okolic — rzekł były agent, podchodząc.

— A ja założę się, że nie, bo gdybyś pan był z Owernii, to nie mówiłbyś takim akcentem paryskim — rzekł węglarz.

— Otóż właśnie, że moja matka była z Owernii.

— Może z Aurillac?

— Nie, z Issaire.

— To niedaleko od nas. A więc wygraliśmy zakład obaj i każdy postawi litra.

— Nie, ja przegrałem i zafunduję dwa litry.

— I owszem, tembardziej, że wyglądasz pan na porządnego człowieka. Prawda, Żaneto?

— O! tak! — zawołała węglarka.

— No, to chodźmy do bufetu.

— Dobrze. Mamy jeszcze trzy kwandranse.

Węglarz obładował się pościelą, Żaneta dźwigała statki kuchenne — przetransportowali je na drugi koniec dworca, gdzie były bufety.

— Dobrze idzie, jak na początek — pomyślał Piédouche.

— Miał już plan ułożony, a polegający na tem, by małżonkowie nie odjechali do Aurillac.

— Z przeproszeniem pana, jak pańska godność? — pytał węglarz.

— Balandier — odparł Piédouche bez namysłu. — Ja swojego czasu pracowałem w węglu, a teraz żyję z renty.

— Ja jeszcze nie, ale to i przyjdzie z czasem.

— Miło jest spotkać ludzi jednego fachu, a przytem z jednej okolicy. Człowiek odmładza się o lat dwadzieścia.

— Pan tego nie potrzebuje, prawda Żaneto?

Węglarka nic nie odpowiedziała. Ten chudziak nie był w jej guście; lubiła mężczyzn rosłych, barczystych, bo sama była zbudowana tęgo i wcale przystojna.

Piédouche rad był, że jej się nie podoba, bo im mniej mu się przypatrywała, tem więcej miał szans, że go nie pozna pod tem przebraniem.

Widziała go już raz, gdy z szefem policyi tropił głuchoniemego, ale wtenczas miał na sobie bluzę i kapelusz filcowy, teraz ubrany był, jak „pan“ i węglarka mogła go nie poznać.

Ufny w to Piédouche, zawołał:

— Wiecie co kumie, zamiast popijać stojący, lepiej byśmy poszli naprzeciwko do cukierni. Tam można się rozsiąść przynajmniej.

— Dobreby to było, tylko czy się nie spóźnimy na pociąg?

— Cóż znowu. Pociąg nie odejdzie bez was. Wszak będziemy mieli zegar kolejowy przed oczyma. No, chodźmy.

Wyszli, Piédouche, mijając podjazd zauważył, że nie było już tam ani dorożki, którą przejechał Tolbiac, ani tej, która przywiozła piękną damę. Zanotował to sobie w pamięci.

Po chwili siedział już z małżonkami w szynku, który miał pretensyą uchodzić za kawiarnię.

Usiadł tak, żeby im zasłonić dworzec kolejowy i zegar. Częstował hojnie, przepijał to do męża, to do żony. Przy trzeciej „kolejce“, doszło do serdeczności.

— Musimy się panu wywdzięczyć! — mówił Jan Galoupiat. Jak tylko powrócimy od ciotki Couvignon, przyjdziesz pan do nas na obiad której niedzieli.

— I owszem, ale pod warunkiem, że przyniosę dwie butelki koniaku.

— Nie do pogardzenia. Dawaj pan rękę.

Uścisnęli się, jak bracia.

— Chciałbym przyjść bodaj jutro — mówił eks-agent — ale państwo zabawicie pewnie dłużej u ciotki Couvignon?

— Tego nie wiemy. Ciotka ma kawał gruntu i chce to oddać mnie i moim braciom na dożywocie. Trzeba będzie podpisywać papiery. Nie wrócimy chyba, jak za miesiąc.

— Garson, litr koniaku! — wrzasnął Piédouche ze zdwojoną hojnością.

Małżonkowie byli zachwyceni.

— Pijcie państwo — prosił eks-agent — a co nie wypijecie, to bierzcie w drogę.

— Nie o to chodzi — krzyknął podchmielony Galoupiat uderzając w stół pięścią — musimy się umówić, kiedy panu oddamy poczęstunek. Gdzie pan mieszka?

— Na ulicy de Lappe, przedmieście Saint-Antoine — odparł Piédouche, któremu zawsze przychodził na myśl jakiś adres w razie potrzeby.

— Znam tę ulicę — zawołał uradowany węglarz — sąsiadujemy prawie ze sobą. Dzieli nas tylko Sekwana i Jardin des Plantés. Ja mam sklep przy ulicy Arbaléte.

— Tak? Ależ tam właśnie zamordowali ową damę z kartą na sercu! Powiem prawdę, chodziłem ją oglądać do Morgi.

— I my także — oświadczył Owerniat z miną tajemniczą. Mieszkało się naprzeciwko więc bodaj przez ciekawość, żeby zobaczyć, czy to ta sama.

— I poznaliście ją!

O, tak. Dość było raz ją zobaczyć, żeby poznać, a myśmy ją widywali codzień.

— Może wzywano państwa na świadków?

— Ma się rozumieć — rzekła węglarka z dumą — i gdyby tak wszyscy świadczyli, jak my, toby sąd nie skazał tego Lecoqa.

— Jakto? Więc pani sądzi, że nie on ją zabił?

— Nie wiem, ale dałabym sobie rękę uciąć, że nigdy nie przychodził do tej Angielki. Oboje z mężem mówiliśmy przed sądem, że go widzimy po raz pierwszy, ale sędzia nie dał nam gadać.

Więc któż ją zamordował, według pani? — pytał Piédouche skwapliwie.

— Tego ja nie wiem — odparła Owernianka, rada że ją „tytułują“ i zniżając głos, rzekła: — ale jest ktoś w Paryżu, ktoby mógł coś panu o tem powiedzieć.

Piédouche musiał bardzo panować nad sobą, żeby nie podskoczyć z radości. Znowu nalał kieliszki i przepił do swoich towarzyszów.

Miał głowę tęgą i w razie potrzeby mógł w siebie wlewać jak w beczkę.

Jan Galoupiat nie odznaczał się taką właściwością niezbędną dla policyanta, a żona nie dorównywała mu nawet. Oboje zaprószywszy sobie głowy skłonni byli do gawędy.

— Jakto? — zawołał Piédouche. — Sądzi pani, że jest ktoś w Paryżu kto zna całą prawdę w sprawie Lecoqa. Ależ to niepodobna!

— Niepodobna?! — podchwyciła Owernianka. — Otóż ja panu powiadam, że tak jest.

— Daj pokój Żaneto — powstrzymywał ją mąż — to do nas nie należy.

— Jakto nie należy? To com widziała na własne oczy, tego mi nikt nie zaprze.

— Więc pani widziała zbrodniarza prawdziwego? — podchwycił Piédouche, udając niedowierzanie.

— Głupstwa gada — przerwał Galoupiat, chcąc przeszkodzić dalszym wyznaniom swej żony. — Jest tam coś, ale nie tyle jak sobie Żaneta wyobraża. Ot poprostu Angielka miała służącą, a ta służąca znikła tego samego wieczora, w którym zamordowano jej panią. To dziwne, że tak odjechała, nie mówiąc dokąd. Może miała powody.

— Być może, a gdyby ją odnaleziono...

— Szukali jej wszędzie, ale pewno źle, bo nikt jej nie schwytał. A jednak nie wyjechała z Paryża... chyba że już wróciła.

— Czyście ją widzieli?

— Nieinaczej.

— I gdzie?

— Na dworcu. Właśnie przeszła obok nas, kiedy pan się zbliżył. Może też pan ją widział.

— Jakże ona wygląda?

— Wysoka, blondynka szczupła, a jaka elegantka! Phi! phi! wygląda teraz na księżniczkę. Musiała znaleść dobre miejsce. Kiedy służyła w Anglii, nie była taka strojna.

— Tak... przypominam ją sobie teraz... Kupowała bilet... wtrącił Piédouche.

— No, ale to jeszcze nie dowodzi, że ona zna mordercę, jak moja żona powiada... i że Lecoq nie zamordował Angielki.

W chwili tej zegar kolejowy wydzwonił piątą.

Galoupiat aż podskoczył.

— Piąta! — wrzasnął — pociąg odchodzi o pięć minut przed piątą. Tośmy wdepnęli!

— Mniejsza o to, pojedziemy następnym — tłómaczyła mu Żaneta, wychylając do dna kieliszek.

— Wiesz przecie, że ciotka czeka na nas jutro.

— Poszlecie jej depeszę — uspakajał eksagent.

— U nas niema telegrafów, a zresztą ona nie umie czytać.

— Ha! czy pojedziecie dzisiaj czy za trzy dni, czy za tydzień, to na jedno wyniesie.

— A nasze działy! Tamci wezmą lepszą ziemię, a mnie zostawią same wybierki — biadał węglarz.

— Byłaby to wielka szkoda, ale...

— Ale co! Niema żadnego ale, chodzi o stratę.

Żałuję teraz, żeśmy przyjęli poczęstunek.

— Ten pan nie winien — mruknęła Żaneta dolewając sobie groku.

— Naturalnie, że nie zrobiłem tego naumyślnie — zawołał Piédouche — ale mniejsza o to. Nie chcę, żebyście mieli żal do mnie, wskażę wam sposób zarobienia tylu pieniędzy, że opłaci się wam odłożyć wyjazd na później.

— I owszem chętniebym zarobił grube pieniądze, byle uczciwie, ale odkładać wyjazdu nie mogę.

— Pojedziecie za trzy tygodnie, może za sześć, to będzie zależało. Ale cóżbyście powiedzieli kumie, gdyby za każdy dzień zwłoki płacono wam po czterdzieści franków?

— Po czterdzieści franków! — zawołał węglarz osłupiały.

— Tak, dla was po czterdzieści, dla waszej małżonki po dziesięć. Dostawalibyście pieniądze co wieczór gotówką.

— Ha! interes nie zły, ale jakiś nieczysty. Ktoby tam tyle płacił za robotę uczciwą!

— A w dodatku byłaby nagroda.

— Nagroda?

— Trzy tysiące franków, płatne w dniu, w którym udałoby się odszukać służącą Angielki, tę, którą widzieliście przed chwilą.

— To tak — rzekł Owerniak, zmieniając ton odrazu — więc pan należy do policyi?

— Cóż znowu! Przyjrzyjcie mi się kumie, czy ja wyglądam na policyjnego wyżła?

— Co prawda, to nie — wtrąciła Żaneta, usposobiona bardzo pobłażliwie dla Piédouche'a.

— Wygląd nic nie znaczy — mruknął jej mąż.

— A gdzieżeście słyszeli, żeby policya płaciła setki i tysiące za odszukanie kogobądź.

— Nikt nie słyszał — potwierdziła kobieta.

— Swoją drogą to dziwna, żeby kto chciał płacić tyle... Trzebaby wiedzieć kto to taki i o co mu chodzi. A może to sam pan?

— Ja? Co to, to nie. Mam wprawdzie kapitalik, ale nie taki, żeby módz wam płacić po pięćdziesiąt franków dziennie. Tego amatora widzieliście na sali sądowej. To był ów Turek z białą brodą... ten, który siedział zaraz za przewodniczącym.

— Miał suknię szamerowaną złotem i brylanty na wszystkich palcach... O tak, widziałem go, naturalnie. A więc i pan był na sądzie?

— Tak, mój kuzyn jest woźnym... wprowadził mnie. Siedziałem tuż przy księciu.

— Więc to jest książę?

— Tak, książę indyjski, bogacz milionowy. A przytem wcale nie dumny. Rozmawiał ze mną łaskawie.

— Czyż mówi po francuzku?

— Lepiej od nas.

— I cóż on panu powiedział?

— Mówił mi, że według niego Lecoq nie jest winien, że w jego kraju sądzą sprawiedliwiej, że nie skazaliby tam człowieka bez dowodów jasnych, jak słońce; tłómaczył mi, że brakło najgłówniejszych świadków — głuchoniemego i panny służącej, jednem słowem gadał wiele głupstw. A najzabawniejsza, że chciał mnie wciągnąć do przeprowadzenia nowego śledztwa. Ci cudzoziemcy miewają także pomysły!

— Jak kto bogaty i nie ma co robić, to byle czem się bawi.

— Koniec końców ofiarował mi pięćdziesiąt franków dziennie i trzy tysiące franków nagrody, jeżeli przed straceniem Lecoqa wyszukam głuchoniemego lub pannę służącą.

— A jeżeli oboje?

— To nagroda będzie podwójną. Rozumiecie, kumie, że nie przyjąłem propozycyi. Na co mi to? Pieniądze, dzięki Bogu, mam i bez tego, a życie tak zapełnione, że nie miałbym czasu na śledztwa; rano łowię ryby na wędkę w kanale, a wieczorem grywam w bezika w kawiarni.

Zapomniałem już nawet o księciu i jego propozycyi; ale kiedy państwo znacie tę służącą, to czemużbyście nie mieli na tem zarobić.

— Tam do licha! — szepnął Owerniak — warto się nad tem zastanowić.

— Gdzie mieszka ten książę?

— W Grand Hotelu.

— A gdzie jest ten Grand Hotel?

— Na wielkich Bulwarach, niedaleko od kościoła Madelaine.

— Ale od nas daleko. A w dodatku, gdybym zgłosił się do hotelu, toby mnie nie wpuścili.

— Gdyby książę kazał was wpuścić, toby musieli. Oni tam robią wszystko co on chce i nie dziw; wydaje po pięćset franków na dobę. Ale, jeżeli wam się uśmiecha ten interes, to nie potrzebujecie iść sami. Ja za was pójdę, zobaczę się z księciem i oznajmię, że są amatorowie na jego propozycyę.

— A więc pięćdziesiąt franków dziennie, płatnych co wieczór? — pytał niedowierzający Owerniak.

— Co wieczór, kumie.

— A gdzie?

— Gdzie chcecie. Wolałbym jednak, żeby nie u mnie, bo gdyby was widywano na moich schodach, toby ludzie zaczęli robić plotki. Wiedzą, że ja nigdy nie opalam mieszkania, a wy jesteście węglarzem.

— Gdyby pan do nas przychodził, każdyby myślał, że to klient.

— Tak, ale wolałbym nie pokazywać się na ul. Arbaléte. Policyanci pewno się tam ciągle kręcą, bo mają nadzieję schwytać wspólnika zbrodni, a ja nie mam ochoty ściągać na siebie podejrzenia. Może znacie jakie miejsce gdziebyśmy się mogli spotykać... może jaką traktyernię...

— Znam jedną na bulwarze Hopital. Nazywa się „Ogień wieczny."

— A są tam gabinety?

— I gabinety i salony i wino z naszych okolic z Mont-Ferrand.

— Tego nam właśnie trzeba. Przychodźcie tam co wieczór na kolacyę o wpół do ósmej. Opowiecie mi, coście zrobili w ciągu dnia, a ja wam wręczę wasze franki.

— I zapłaci pan za kolacyę?

— To się rozumie. Pod jednym warunkiem wszelako, a to, że i pani Żaneta będzie przychodziła z wami.

— Bardzo pan grzeczny! I owszem i owszem! — zawołała uradowana węglarka.

— A więc umowa stoi. Będę czekał na państwo jutro.

— Nie tak prędko, muszę wpierw usłyszeć, co jest do zrobienia? Łatwo to powiedzieć: odszukaj Angielkę, ale trochę to trudniej odszukać. Widzieliśmy ją przed chwilą. Nie zobaczymy jej już może nigdy.

— Jeżeli będziecie czekali, żeby przyszła na ul. Arbaléte to zapewne. Nie spieszno jej tam wracać. Ale jeżeli zaczniecie spacerować po eleganckich ulicach, to ją zobaczycie.

— Jabym miał spacerować, a mój węgiel?

— I tak zostawiłbyś go pan, jadąc do ciotki.

— Wiesz przecie, że mój kuzyn Piotr Contolene będzie pilnował sklepu — przekładała Zaneta, uszczęśliwiona, że będzie mogła próżnować jak dama.

— Naprzód — wtrącił Piédouche — moglibyście ją zobaczyć nawet dzisiaj. Angielka pojechała na wieś. Nie zabawi długo, ponieważ nie wzięła bagażów. Gdybyście na nią poczekali do wieczornych pociągów, ręczę, że nawinęłaby się wam na oczy.

— A jak się nawinie, czy mamy ją schwytać?

— Broń Boże! — zawołał Piedouche — zrobilibyście okropne głupstwo. W takim razie trzeba iść za nią, żeby zobaczyć, dokąd podąży.

— Ona ma powóz własny i konie. Odjedzie sobie. A my?

— Wy wsiądziecie do fiakra, dacie z dziesięć franków dorożkarzowi i powiecie mu, żeby jechał, co koń wyskoczy, za tym powozem, choćby mu szkapa miała zdechnąć.

— Dziesięć franków! Dziesięć franków! Tak pan o tem mówi, jak gdyby to były śmiecie.

— No, widzę, że mi nie ufacie, kumie. Chcecie zaliczki. Bóg z wami.

Piédouche wyjął z kieszeni od kamizelki dwa luidory i dwie monety po sto soldów.

Owerniac przypatrywał się złotu pożądliwie, ale wahał się jeszcze.

Żaneta wyciągnęła rękę, pieniądze wpadły w otchłań jej kieszeni.

— Nie możesz panu odmawiać, boby się obraził — przedkładała.

— Mąż pani nie pożałuje tego interesu! — zawołał Piédouche. — Pomyśl pani tylko; trzy tysiące franków nagrody!

— Dokupilibyśmy pole, przylegające do gruntów ciotki — kusiła Żaneta, odgrywając rolę Ewy.

— Ile to koszy węgla trzeba sprzedać, żeby dojść do takich pieniędzy! wtrącił Piédouche.

Naciskany z dwóch stron, Galoupiat grzmotnął pięścią w stół, wołając:

— Niech tam! przyjmuję.

— Dzięki Bogu! — podchwycił Piédouche. — Jesteście na drodze do majątku i radzę zabrać się do rzeczy odrazu. Naprzód trzeba powrócić do domu i uwolnić się od tych rondli i materaców. To zwraca na was uwagę. Zresztą czasu jest dosyć. Angielka nie powróci wcześniej niż wieczorem jednym z ostatnich pociągów. Przyjdziecie na kolej przed nią.

— A jeżeli dzisiaj nie wróci? — Czy na nią czekać jeszcze jutro?

— Nie warto, bo w takim razie wróci zapewne powozem. Jutro pozostaniecie w domu do trzeciej. O trzeciej pani Galoupiat wystroi się. Wy, kumie, włożycie ubranie świąteczne i będziecie chodzić pod rękę; naprzód po polach Elizejskich, a potem po Lasku Bulońskim. Macie się przyglądać powozom i siedzącym w nich kobietom. Jestem pewny, że ta Angielka objeżdża codziennie sadzawkę. Jeżeli jej nie zobaczycie jutro, zróbcie to samo pojutrze i tak dalej.

— Za pięćdziesiąt franków codziennie.

— A wieczorem będziemy się spotykali w „Ogniu wiecznym."

— No, zgoda, przekonacie się kumie, że nie jestem do niczego — zawołał Galoupiat rozochocony.

Piédouche zawołał na garsona i zapłacił rachunek.

— A więc do jutra — rzekł, przerywając gawędę, bo dostrzegł z oddali kogoś, do którego chciał się zbliżyć.

Po odejściu małżonków, obiadowanych, jak wielbłądy, Piédouche pozostawszy sam w pokoju, zatarł chustką zmarszki na czole i twarzy, zdjął perukę, odlepił faworyty i przybrał zupełnie inną postawę, a skorzystawszy z chwili, w której dużo osób znajdowało się w ogólnej izbie szynkowej, wysunął się z przyległego „gabinetu", wmieszał się w tłum i przestępując z nogi na nogę, jak człowiek, przyzwyczajony do noszenia ciężarów, wyszedł na ulicę.

To przeistoczenie dokonane zostało na rzecz zwrotniczego Cambremera, którego eks-agent zobaczył przez okno. Widział go raz jeden w życiu przed dworcem Lyońskim, w dniu, w którym wykradziono głuchoniemego, ale zapamiętał jego twarz wybornie, a że wówczas rozmawiał z nim jako tragarz, więc i teraz chciał mu się przedstawić w tej samej roli.

Cambremer szedł w stronę Jardin des Plantes i rozmawiał ze swoją córeczką, nachylając się do niej, więc nie zwracał uwagi na człowieka, który go wyminął i nagle przy bocznej furcie potrącił go, pchając się naprzód.

— Ostrożnie, mój panie — rzekł zwrotniczy.

— Ha! to kolega — krzyknął Piédouche, odwracając się.

— Kolega? — powtórzył Cambrener zdziwiony. — Ja pana nie znam.

— Macie widocznie krótką pamięć, ale mam dobrą — mówił eks-agent — pamiętam, że częstowaliście mnie grokiem naprzeciw dworca Lyońskiego.

— Istotnie, teraz sobie przypominam, ale to było bardzo dawno.

— Zeszłej zimy, w styczniu. Wystąpiłem ze służby w lutym.

— Gdyśmy się widzieli po raz ostatni, pan byłeś tragarzem.

— Tak, od lat dziesięciu i miałem już tego dosyć. To też wziąwszy spadek po swoim kuzynie, wystąpiłem ze służby i teraz żyję z procentów.

— Szczęśliwy człowiek!

— To zależy. Chwilami nudno mi strasznie. Jak się nie ma ani żony, ani dzieci, to niewiadomo, co robić z czasem. Rad też jestem zawsze spotkać znajomego. Może przyjmiecie poczęstunek?

— Dziękuję — odparł chłodno Cambremer — nie pijam przed obiadem.

— Nie spodziewałem się, kolego, że mi odmówicie. Przed trzema miesiącami, zapraszaliście mnie do siebie. Przyszedłem tu właśnie, żeby się o was rozpytać na kolei. A skoro was spotykam, to mnie chyba nie odprawicie z kwitkiem. Częstowaliście wy mnie. Teraz na mnie kolej.

— Gdybym nie miał ze sobą tej małej, to i owszem, ale rozumiecie, że ona woli biegać po ogrodzie, jak siedzieć w szynku.

— I na to rada się znajdzie. Opodal jest kawiarnia wśród drzew. Mała będzie jadła ciastka, a my przepijemy do siebie... Śliczna ta wasza córeczka... Ale prawda, cóż się stało z jej spadkiem?

— Z jakim spadkiem?

— Z tym, co ten pan powiadał, że go musi dostać... pamiętacie, pan ten, co to rozrzucił luidory po szynach.

— Więc ja wam to opowiadałem? — rzekł Cambremer zdziwiony.

— Ależ tak... na bulwarze Mazas... Pamiętacie, zbliżył się do mnie ten sam pan i o coś pytał... a gdy odszedł, wyście podbiegli i pytaliście czy go znam.

— Tak, teraz sobie przypominam. To dziwny człowiek. Byłem z dziesięć razy u niego w domu, ale go nie zastałem ani razu, wreszcie zostawiłem luidory u odźwiernego.

— A sukcesya? Czy to było „naciąganie?"

— Tak mi się zdawało, ale wczoraj ni ztąd, ni zowąd przyszło mi na myśl odczytać papiery, pozostałe po mojej nieboszczce i dowiedziałem się wiele rzeczy ciekawych. Naprzód, że moja Marta pochodzi z wielkiej familii irlandzkiej.

— Ta-a-k.

— Nieinaczej, papiery są w porządku i z tego, com w nich wyczytał, okazuje się, że dziadkiem mojej żony, zmarłej przed czterema laty, był jakiś lord irlandzki.

— I nie wiedzieliście o tem?

— Ani ja, ani ona. Była sierotą; kiedy się z nią ożeniłem, pracowała w fabryce; nazywała się Paulina Bermer.

— Co prawda, to nazwisko nie irlandzkie.

— A jej matka była z domu Guichard.

— Także nazwisko nie irlandzkie.

— I ja tak myślałem, ale znalazłem metrykę babki Pauliny — i ta była z domu O'Sullivan. Elżbieta z imienia.

— O'Sullivan! — podchwycił Piédouche, nie wierząc własnym uszom.

— Tak, i ojciec Elżbiety był obywatelem w okolicy Dublinu. Prawda, jakie to dziwne, że moja Marteczka ma szlachecką krew w żyłach? Jej matka była wyrobnicą, babka także, ja pracuję rękoma i moja rodzina uboga z rzemieślników... Ale co to pana może obchodzić! a dziecko tymczasem chciałoby pobiegać... Do widzenia, kolego.

— Ależ nie! — zawołał Piédouche —. Nie mam co robić, chętnie pogawędzę z wami. Chciałbym coś jeszcze usłyszeć o tym spadku, bo wyobraźcie sobie znam właśnie człowieka, który zajmuje się wynajdywaniem sukcesyi. On to oznajmił mi pewnego dnia, że jestem krewny w szóstym stopniu, jakiegoś handlarza wozami z Cotentin, który umarł bezdzietnie i bez testamentu i pozostawił 60,000 fr. Nie wiedziałem nawet o istnieniu kuzyna z Normandyi, a jeśli dziś żyję z renty, zawdzięczam to ojcu Vinet — ten poszukiwacz spadków nazywa się Vinet.

— Może i p. Tolbiac de Tichebray zajmuje się także tem rzemiosłem?

— Być może, ale radziłbym wam, lepiej udać się do ojca Vinet. Ten jest uczciwy i bierze tylko 10 procent.

Piédouche uwiesił się na ramieniu Cambremera, minął Jardin des Plantes i prowadził go nieznacznie do esplanady za mostem Austerlitz, gdzie pod rozłożystemi kasztanami była kawiarenka, wyglądająca bardzo przyzwoicie, ze stolikami na świeżem powietrzu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Jak to trudno się zakochać!

(MONOLOG).

Aż mi z żalu łzy się kręcą,
Aż ze złości chce się szlochać,
Gdy pomyślę, jak to trudno,
Jak to trudno się zakochać!

Tak bym chciała zbudzić w sercu
Złotolistne uczuć kwiecie,
A i pora już po temu,
Bo szesnaście lat mam przecie.

Do miłości pełna jestem
I ochoty i zapału,
Lecz cóż z tego, proszę państwa,
Kiedy nie mam ideału.

Nie! Nie dobrze się wyrażam,
Zawsze głupstwo jakieś strzelę!
Bo właściwie... to ja... to ja...
Ideałów mam... za wiele.

W tem przyczyna mojej troski,
W tem tkwi właśnie bieda cała,
Przez pół roku... Przez pół roku
Cztery razym się kochała.

Cztery razy! Co ja mówię!
Zaraz, jeden... drugi... trzeci...
Czwarty... piąty... szósty, siódmy!!!
A ten kuzyn cioci Teci?

Tak! Jak mamę kocham! Dziewięć!
Rozpacz chwyta mnie prawdziwa!
No widzicie, moi państwo,
Jaka jestem nieszczęśliwa!

Ledwo w jednym się zakocham,
Już mi zaraz inny w głowie —
Ten ma oczy takie śliczne,
Dziwną słodycz ów ma w mowie.

„Całe życie“ szepce sobie,
„Całe życie“ serce wtórzy,
Oho! Gdzietam! Tydzień! Tydzień!
Ani jednym dzionkiem dłużej!

(*płacze*).

Ach! mój Boże! Ach, mój Boże!
Z każdym! Z każdym mam to samo!
Ja się państwu wyspowiadam,
Jakby przed rodzoną mamą.

Tedy naprzód nasz profesor,
(To na pensyi jeszcze było)
Staruszeczek taki siwy,
Z taką twarzą dobrą, miłą!

Ach! Kochałam go szalenie,
Mam do niego listów pakę,
Potem nie już: Dał mi dwójkę!
I... zażywał wciąż tabakę!...

Po tym starym tabaczarzu,
Były nowe ambarasy,
Zakochałam się okropnie
W mym kuzynku z szóstej klasy.

Krótko trwała owa miłość,
Zgasła w samem wnet zaraniu,
Bo powiedzieć taki smarkacz!
I ja panna na wydaniu!

Po kuzynku był poeta,
Ach lubiłam go ogromnie!
Jak on oczy wznosił w górę!
Jakie wiersze pisał do mnie!

Jeśli chcecie to się wezmę
Do poezyi tych czytania —
Ten poeta był studentem,
Miał medyczne porównania:

„Ukochana panno Maryo!
Łatwiej z febrą, lub malaryą,
Łatwiej z dżumą iść w zawody,
Niż z miłością w piersi młodej.

„Twoich cudnych oczu dwoje,
Tak ćwiartuje serce moje,
Tak mnie moc ich rwie zaklęta,
Jak Iksiński tnie pacyenta.

„Użycz luba swej protekcyi,
Nie rób na mnie wiwisekcyi,
Bo mnie czeka dola taka,
Jakbym phtysis miał lub raka!“

Wiersze ładne, ani słowa!
Lecz zerwałam (będąc szczera),
Bo poezyi jego żadnej
Wziąć nie chcieli do „Kuryera!“

I tak było z dziewięcioma
Jakże teraz mam nie szlochać!
Co tu robić? Co tu robić?
By naprawdę się zakochać.

Tak zakochać, by żyć wiecznie
Pod miłości jasnej władzą...
Ja już niewiem, niewiem! Niewiem!...
Może państwo mi poradzą? *Or-Ot.*

Nie ożeniłem się.

Alfons westchnął, a potem uśmiechnął się z miną człowieka zadowolonego, który uniknął grożącego mu niebezpieczeństwa.

— Tak, to ja, przypatrzcie mi się, rzekł, ja sam we własnej osobie. Nie spodziewaliście się ujrzeć mię? Istotnie miałem wziąć na wieki rozbrat z kawalerskiem życiem, naszemi zebraniami i pogadankami miłemi. Byłem na progu świątyni hymenu. Na szczęście nie przekroczyłem go...

— Czy moja narzeczona była odstraszająco brzydka, ograniczona, niemiła? Przeciwnie, zachwycająca. Ośmnastoletnia blondynka, z dużemi, błyszczącemi, koloru turkusa, oczami.

— W jaki sposób się z nią poznałem? W bardzo prosty: Obudziłem się pewnego poranku jakiś nieswój, znudzony, z głową ciężką, a sercem próżnem. Na świecie było szaro, smutno i błotno. Nie do roboty, nie do czytania, nie do kochania!

— Wiesz co, powiedziałem do siebie, widocznie nadszedł czas, w którym powinieneś się ożenić. Trzeba sobie stworzyć gniazdo rodzinne, to cię zajmie, rozerwie.

— Pomyślane, wykonane!

Wsiadłem do powozu i kazałem się zawieść do starego przyjaciela rodziców, wyłuszczyłem mu powód odwiedzin, prosząc o wyswatanie mię z córką którego z klientów.

Staruszek pomyślał trochę i zapytał, czy wolę blondynkę, czy brunetkę?

— Wolałbym blondynkę.

— Dlaczego?

— Bo Lulu była brunetką. Dla kontrastu.

Uwaga powyższa zdała mu się słuszną.

— Ożeń się z panną Bertą Briward.

— Czy ładna?

— Bardzo ładna.

— Do kogo podobna?

— Do nikogo, do siebie samej.

— Ale mniej więcej, kochany panie, może do której śpiewaczki, baletnicy?

— W balecie... nie, nie przypominam sobie, ale czekaj, podobna w istocie do Angeli, naiwnej z *Bouffes*.

— Jakto, panna Briward podobna do Angeli? Żenię się natychmiast! Wprowadź mię pan do państwa Briward jak najprędzej!

Opuszczam szczegóły.

Poznaliśmy się na publicznym balu, na cel dobroczynny. Jeden kontredans, jeden walc, trochę flirtu, oto kroki wstępne. Potem spotkanie w teatrze, wizyta w loży, głęboki ukłon dla rodziców, jeszcze głębsze spojrzenie dla córki.

Śliczna dziewczyna, jak malowanie! Cienki, zgrabny nosek, usta jak wiśnie, duże, błyszczące oczy. Ładniejsza, stanowczo ładniejsza od Angeli.

Pan Briward także bardzo miły człowiek, nie mający obecnie innego zajęcia nad obcinanie kuponów od listów zastawnych.

Pierwsza wizyta. Wyobraźcie sobie duży salon na bulwarze Malesherbes, salon biały ze złotem, a w salonie tym wszystko bardzo świeże, bardzo nowe i bardzo złocone; przy stoliku panna Berta pochylająca swoją, także złotą główkę nad *Revue des deux Mondes*.

Był to obrazek trochę sztuczny, naciągnięty, ale ładny. Słowo honoru, ożeniłbym się w tej chwili.

Ale rodzice nie zgodziliby się nigdy na to, wszystko musi się odbyć solennie, uroczyście.

Najpierw zaręczyny, prolog, wstęp, avant-propos małżeństwa. Wstęp pełen obietnic. Rozkoszne chwile narzeczeństwa, byłem w zachwycie. Młoda dziewczyna, nieświadoma życia, naiwna, czysta, znalazłem nareszcie taką! Jaki ja będę szczęśliwy, gdy to urocze stworzenie będzie należeć do mnie, będzie moją, moją!

Codziennie obiadowałem u Briwardów w tym samym wyzłoconym salonie, tylko panna Berta nie czytała już *Revue des deux Mondes*... uważając to pismo za zbyt poważne.

Jakże rozkosznie uśmiechała się na mój widok, a ja całując jej rączki, wręczałem bukiet róż lub białego bzu.

Kwiaty te kupowałem zawsze w jednym sklepie i kwiaciarka znała mię już. Jak tylko wchodziłem, bez pytania podawała mi bez i róże do wyboru. Sprawiało mi wielką przyjemność parę chwil pobytu śród tej powodzi kwiatów i przepysznej zieleni. Stawałem się poetycznym... Nie śmiejcie się, proszę! Nie zwracałem nawet barbarzyńca uwagi na

śliczną, ale smutną twarzyczkę sprzedającej. Myślałem o Bercie i ją tylko widziałem.

O ileż była ładniejszą moja ukochana od Angeli, a jak pięknie byłoby jej w kostyumie subretki naprzykład, gdyby występowała w operetce?

Raz przeglądaliśmy album z fotografiami członków rodziny. Byli więc wojskowi, kupcy, apoplektyczni wujaszkowie, pułkownik artyleryi, a nawet — minister.

Zamknąwszy album, Berta powiedziała:

— Teraz przyniosę inny, tam będzie wiele ładnych twarzy.

Pobiegła. Ach, co za figurka!

Wróciła. W przyniesionym albumie znajdowały się same aktorki, śpiewaczki i baletnice. Pomiędzy Teo i Margaritą uśmiechała się jak żywa, wydekoltowana Angela.

— Prawda, że jestem do niej podobna, rzekła żywo Berta, wszyscy mi mówią.

I ująwszy się pod boczki, wysunęła nóżkę naprzód i zaczęła spiewać kuplety.

Jakto? ona to znała, ona to umiała, moja narzeczona, panna Briward, córka byłego sędziego handlowego?!

Zdziwiło mię to nieprzyjemnie i wyszedłem tego wieczoru trochę rozczarowany z białego salonu.

Przechodziłem koło mojej kwiaciarni, którą już zamykano, ale dojrzałem poza azaliami, między ogromnymi liśćmi kaktusów bladą kwiaciarkę, która kończyła zwijać ogromny bukiet. Stanąłem, przypatrując się jej po raz pierwszy ciekawie. Była to prześliczna dziewczyna. Czarne jej włosy gładko zaczesane i delikatny profil, przypominały starożytną rzeźbę. Światło gazowe padało wprost na jej białe rączki, drobne paluszki, które obracały na wszystkie strony bukiet, układany z gustem prawdziwie artystycznym. A jaka rączka, dystyngowana, arystokratyczna!

I podziwiałem tę rączkę, ja, ja, który tam w salonie przy bulwarze Malesherbes prosiłem o inną.

Nazajutrz wybieraliśmy się razem na proszony obiad do notaryusza, ktry był naszym swatem. Obiecałem Bercie, że jej przyniosę wiązankę do stanika, wstąpiłem więc do sklepu, a blada kwiaciarka podała mi, jak zazwyczaj, bukiet bzu.

— Nie, pani, dziś mi potrzebny nieduży bukiecik do stanika.

— A! spojrzała na mnie i uśmiechnęła się jakoś serdecznie, poczciwie. Służę panu, ten będzie dobry. Za duży? więc może ten?

Zupełnie mi była obojętną wielkość bukietu, ale umyślnie grymasiłem, przedłużając w ten sposób rozmowę, bo mi się nie chciało wyjść z małego edenu. Tyle zieleni, pięknych kwiatów, a śród nich młoda dziewczyna czarno ubrana, ładna, sympatyczna, która bez cienia kokieteryi przypięła wiązankę róż herbacianych do swego stanika i spytała:

— Ten bukiecik to już chyba będzie dobry, proszę pana?

Był dobry, tak dobry, że miałem chęć odpowiedzieć:

— Zostaw go pani dla siebie, proszę bardzo, bo jest ci w nim prześlicznie. Jest świeży i wdzięczny, jak ty sama.

Ale nie powiedziałem naturalnie tego wszystkiego, bo cóżby sobie pomyślała, żem zwaryował chyba.

Wyszedłem.

W białym salonie znajdowała się Berta wystrojona, z pękiem kwiatów przy boku.

— Nie liczyłam już na pańskie kwiaty, — rzekła z dąsem.

— Tem lepiej, — pomyślałem i z przyniesionej wiązanki wyjąłem jedną różę dla siebie.

Ah, ten obiad! jaki on mi się wydał nudny i długi, a p. Berta pospolita, banalna, drażniła mię poprostu. Zdawało mi się, że to Angela z *Bouffes* gra rolę mojej narzeczonej i gra ją źle.

Czy ta kobieta będzie dla mnie odpowiednią żoną? Chyba nie... jednocześnie widziałem oczyma duszy bladą i smutną twarz dziewczęcia obramowaną masą zieleni, a uśmiechającą się dziwnie poczciwie. Czarujące stworzenie! Biedactwo, taka smutna, zapewne sierota. Jaki los ją czeka? Ha, cóż, pójdzie może za jakiego biedaka i wieść będzie w dalszym ciągu smutne życie pracy i ciągłej walki o byt.

A jednak mogłaby opływać w dostatek i zbytki... gdyby tak naprzykład została moją kochanką... Na myśl podobną zawstydziłem się sam siebie, uczułem wyrzut sumienia. Więc czem? Żoną? Dlaczegóżby nie? cóżby w tem było nadzwyczajnego?

I coraz częściej zamiar ten snuł mi się po głowie i coraz rzadziej widywano mię w salonie przy ulicy Malesherbes. Nareszcie raz, bardzo seryo spytał mię stary notaryusz:

— Powiedz mi, mój kochany, czy ty masz zamiar ożenić się z Bertą, czy nie?

Wobec tak jasno postawionej kwestyi odparłem bez namysłu:

— Przyznam się, że nie mam wielkiej ochoty, zdaje się, że nie jestem stworzony do roli małżonka.

Zerwałem więc.

Nazajutrz po tej rozmowie udałem się do kwiaciarni. Zamiast bladej brunetki zastałem inną, rudą, miłą i uprzejmą. A tamta wyjechała do rodziców, do Burgundyi, wychodzi za mąż. Za kogo, nie wiem. Nie znam jej imienia, nazwiska, wieku. Wiem tylko, że musiała być uczciwa i podobała mi się.

Oto cała historya. Niema w niej nic nadzwyczajnego, a jednak zostanie na zawsze miłem dla mnie wspomnieniem. Eh, widzę, że się staję romantycznym... *A propos*, wiecie, jutro ślub panny Briward, wychodzi za młodego finansistę, który zrobił majątek na krachu, rujnującym innych. Panna Berta nazwie to dowcipnie życiem na ruinach. Będą bardzo szczęśliwi.

Ja wyjeżdzam jutro do Monaco. Straciłem bladą kwiaciarkę, może wygram w ruletę. Nieszczęśliwy w miłości...

Małżeństwo to loterya, jak każda inna, a można być pewnym wygranej... jeżeli się nie kupi biletu... *J. C.*

Wspomnienie karnawałowe.

Hej! poniosło mnie znowu wspomnienie
Do tych wiejskich pobielonych ścian!
Pod szlacheckiej komnaty sklepienie —
Na zapusty! na ochoczy tan!
Hej! zadzwonił mi znowu od ucha
Modrzewiowy, wrosły w ziemię dwór!
Hej! zagrała kapela Borucha!
Posłuchajcie... będzie z serca wtór!

Szlachecki dworek cichy...
Ścieżajem stoi próg!
Pierś z piersią! w dłoń kielichy!
Gość w domu — w domu Bóg!

Szlacki dworek stary,
Lecz miejsca wszystkim dość!
Z podsienia grzmią fanfary —
Za gościem wchodzi gość!
Na ławach, przy świetlicy —
Z Boruchem żydków trzech:
Dwóch smykiem po skrzypicy —
Dwóch w trąby dmie jak w miech!
Niedarmo bo Borucha
„Słowikiem“ zwykli zwać!
Oj! umiał grać od ucha!
Oj! umiał szlachcie grać!
Przystanął... podniósł smyka,
Na żydków skinął trzech...
Ej idzie *wej!* muzyka!
Ta nasza! ta z pod strzech!

To niby szumią zdroje —
To nibi gędźbi bór...
Aż trzęsą się pokoje!
Aż śpiewa cały dwór!
To z wichrem gdzieś w zawody
Za koniem pędzi koń...
Że stary czy to młody
Do góry wznosi dłoń!
Dziadulo, ze łzą w oku,
Srebrzysty targnął wąs —
Prawicą sięgnął boku —
Do wnusi! dalej w pląs!
„Hej za mną chłopcy! w koło!“
Wywija staruch w lot...
Szczerbione świeci czoło —
Złocisty błyska splot!

Ej wali mazur! hu! ha!
Że choćby z trumny wstać!
. . . .
Nie było nad Borucha!
Oj! umiał szlachcie grać.

K. Laskowski.



Elżunia lubi bardzo ładne pieski swoje,
Lecz, że trudno brać wszystkie razem na pokoje,
Co dzień bierze jednego sobie dla zabawy,
A resztę pozostawia wśród pisku i wrzawy.

Kronika.

W czasie balów i rautów warto pomówić o rautach i balach. Bardzo dobrze scharakteryzuję niektóre nasze bale — przytaczając następną podsłuchaną rozmowę:

Raut... Siedzę w kąciku... rozmowa cichnie, zalega spokój nie zwiastujący, aby się bawiono. Wtem z przedpokoju dochodzi odgłos dzwonka. — Po chwili wchodzi wysoka, ładna blondynka, lat 30 — kraśna, ślicznie rozwinięta.

Gospodyni domu wita ją uprzejmie...

— Ach, jak tu dobrze, że zastaję tyle osób... Wracam z posiedzenia komisyi koncertowej i balowej. Odbędzie się koncert na Schronienie dla nauczycielek. Uprosimy do śpiewu hrabiego P. — głos nie jak dzwonek, lecz jak dzwon; hrabianka W. zadeklamuje, dr. J. zagra na skrzypcach, artysta pierwszej miary. Słowem, koło dobrane i wybrane. Koncert odbędzie się dnia 12 lutego. Liczę na państwa.

...Nie ma odpowiedzi, blondynka bierze milczenie za odpowiedź przychylną i mówi dalej:

— O koncert nie ma obawy, gorzej z balem, który uchwalono na cele dobroczynne. I tu na państwa wszystkich liczę; weźmiecie odemnie bilety... Zapowiedziałam hrabinie-przewodniczącej liczny współudział moich znajomych...

— Pan pójdzie napewno... z żoną naturalnie — dodaje blondynka, pochylając kształtną główkę w kierunku najbliższego sąsiada.

Sztywny brunet o surowym, zimnym wyrazie twarzy, marszczy brwi lekko i odpowiada z flegmą:

— Bilet wziąć mogę dla... celu, ale co do pójścia... raczy nas pani zwolnić z tego *przykrego* obowiązku...

— Jakto przykrego? Żona pana lubi tańczyć, pan lubi patrzeć na żonę tańczącą.

— Żona moja lubi tańczyć, ale w *swojem* kółku; ja lubię patrzeć na nią, ale nie wówczas, gdy ma tylko *succès de haute étiquette*. Hrabia X. zaszczycający ją jednym obrotem walca w zamian za bilet kupiony, by nazajutrz lub w godzinę później przejść koło niej, jak koło słupa sali balowej; hrabina Y. witająca ją na wstępie poufałym uściskiem ręki, by odgrodzić się od niej później nieprzekraczalną granicą własnego *cercle'u*, przyzna pani, że to odznaczenia, dla których nie warto psuć sobie nocy.

— Pan jest pesymistą. Prawda, że na tak zwanych mieszanych balach arystokracya stanowi zawsze oddzielne kółko, ale wynika to, sądzę, nie ze złej woli, lecz samo przez się...

— Jeżeli tak jest, nie należy się nam wciskać do tych oddzielnych kółek... — rzekłszy, ukłonił się.

Piękna blondynka widząc nieugięty jego opór, zwróciła się trochę urażona do innych.

— Państwo będziecie?

— Co do nas, zobaczymy jeszcze — brzmiała odpowiedź. — Hrabina X. złożyła mi sama wizytę.

— Ja otrzymałam od niej bardzo serdeczny bilecik...

— Ze mną spotkała się na ulicy, zatrzymała powóz... wysiadła... musiałam jej przyrzec...

Wstałem z mego kącika i po angielsku wyniosłem się z rautu, myśląc o tem, jak prawdziwem jest przysłowie: „Czapką papką i solą ludzie ludzi niewolą.“

Lecz nie tylko to jedno mi przyszło na myśl, przypomniałem sobie słowa pesymisty, twierdzącego, że na balach mieszanych arystokracya tworzy osobne kółko.

Gdym te słowa sobie przypomniał, pomyślałem, że nie tylko arystokracya tworzy oddzielne kółka.

Trzeba tylko iść na bal starego przemysłu, na bal korporacyi kupieckiej itd. itd., aby się przekonać, jak wśród równych sobie zajęciem i urodzeniem tworzą się kółka i kółeczka.

Dnia 9-go b. m. odbędzie się na sali Bazarowej bal starego przemysłu. Kto się chce o prawdzie mych spostrzeżeń przekonać, niechaj nań idzie.

Nie trzeba tedy obwiniać *arystokracyą* o *arystokracyą*, lecz przedewszystkiem nie trzeba samemu wpadać w ten sam błąd, który, jeżeli u arystokraty jest wielkim błędem, wynikającym z źle zrozumianej dumy rodowej, tym większym jest u *niearystokraty*.

Pod koniec notuję, że socyalizm krzykliwie podnosi głowę — a skutki tej krzykliwości pokazały się na zebraniach świeżo odbytych; wreszcie donoszę, że poczta tutejsza, walcząca z tytulaturą polską, po cichu — przez munsztuk, — jak pan Sienkiewicz pisze — trąbi do odwrotu.

Bardzo rozsądnie. *Acer.*

Pamięci Hurki.

Rzuciłeś, Hurko, dawną ojców wiarę,
Splamiłeś pamięć swoich polskich dziadów,
Co kraj bronili od Moskwy napadów
I z krwi pod Wiedniem składali ofiarę.
Oj Hurko, Hurko, carski ty sokole,
Toż to cię djabli będą smażyć w smole!

Zostałeś carskim sługą, carskim katem,
Brałeś ordery, rozdawałeś pałki,
Powołan za to byłeś w feldmarszałki;
Duch Murawiewa uznał cię swym bratem.
Oj Hurko, Hurko, carski ty sokole,
Toż to cię djablij będą smażyć w smole.

Twe rządy w Polsce był to szereg zbrodni—
Stałeś się morem, straszną kraju klęską,
A wspomagali twoją dłoń „zwycięzką,
Zacna twa żona i synowie godni.
Oj Hurko, Hurko, carski ty sokole,
Toż to cię djabli będą smażyć w smole!

Lecz cię za życia już dosięgła kara:
Z dwóch synów łotrów, jeden w pełnej chwale
Trucizną skończył życie w kryminale,
A drugi uciekł przed sądami cara.
Oj Hurko, Hurko, z carski ty sokole,
Toć to cię djabli będą smażyć w smole!

Juześ nie straszny nam, Azyato dziki —
Podobnych tobie piekło dość porwało —
A po nich tylko wspomnienie zostało,
Że niema łotrów nad perekińczyki.
Oj Hurko, Hurko, carski ty sokole,
Toż to cię djabli będą smażyć w smole!

D.

Z teatru.

„Mazepa“ — Juliusza Słowackiego.

W środę widziałem, nie wiem, już po raz który kreacyą Słowackiego, zawsze silną, zawsze świeżą i zawsze ściągającą tłumy publiczności, bo i ostatniej środy teatr był wypełniony po brzegi. Czar słowa wielkiego poety ściągnął te tłumy, a może też zapowiedziany pierwszy występ p. *Krzyżanowskiego.*

I powiał ku nam ze sceny czar tej niezrównanej poezyi, dźwięczącej w słowach Amelii (Jakubowskiej) gdy się skarży na zuchwałość Mazepy przed królem — i słyszeliśmy wybuchy gniewu wojewody, kreowanego świetnie i z potęgą przez pana Rygera, i widzieliśmy postać Mazepy, po kozacku buńczuczną, a jednak owianą smętkiem ukraińskim — i ujrzeliśmy Zbigniewa — rycerza bajronistę, pełnego szlachetnego zapału i cnoty, lecz nadczułego, nadwrażliwego, jakby protoplastę błąkających się po świecie jeszcze dziś dekadentów. — Cała tragedya odznacza się szekspirowską siłą. Słowacki wprowadza w akcyą wszystkie te namiętności ludzkie, które zawsze budzić będą gniew, szał, zapamiętanie się, bo miłość i zazdrość, a przyobleka to wszystko w przecudną formę, wprowadza w grę tak interesujące postacie, jak wojewody, Mazepy i Zbigniewa, więc po dziś dzień ten utwór wstrząsa i zachwyca zarazem.

Zbigniew to jedna z najtrudniejszych ról repertuaru polskiego i trzeba rozporządzać nie tylko zewnętrznemi środkami, lecz także pewnem bogactwem ducha, chcąc tę właśnie rolę w przybliżeniu dobrze oddać.

O wierne odwzorowanie tej postaci bajronowskiej w kontuszu szlachcica karmazyna kusiło się nie zawsze z powodzeniem wielu artystów, to też nie mogę powiedzieć, żeby p. K. zupełnie był wniknął w charakter tej postaci, ale otwarcie przyznaję, że pan K. z wielką pilnością ją studyował i owoce tego studyum uwidoczniały się w całej grze artysty.

Więcej na razie od młodego artysty żądać nie można.

Zbigniew Krzyżanowskiego podobał się ogólnie i huczne zbierał oklaski.

Wystawa była staranna.

Widz.

Walczyk.

Na błękitnej nieba tarczy
Lśni srebrzystych gwiazdek rój,
Dla mnie jednak dziś wystarczy
Twe spojrzenie, skarbie mój!

Zasłuchany w walca tony,
Śnię tęczowy, cudny sen,
Ach rozkoszny, wymarzony,
Jak uroczy, jest walc ten!

Daj mi rączkę twą, kochanie,
Hen — w obłoczną płyńmy dal,
Grajek rychło grać przestanie,
W sercu się obudzi żal..

Nie żartuję ani trocha,
Taniec ten upaja mnie,
I pragnąłbym (myśl to płocha)
Tak walcować doby dwie!

Myśli w głowie mej się mącą,
W zaświatowe kraje mkną,
Kiedy rączkę twoją drżącą
Składasz w twardą rękę mą.

Widzę tęczę na błękicie,
Czuję kwiatów świeżą woń,
I wnet radbym oddać życie,
Patrząc w oczu twoich toń!...

. . . .

Co to? Pani ma zmęczona?
Więc siadajmy już, ot tu —
Walczyk zwolna milknie, kona...
Szkoda tańca, szkoda snu! *Er.*

Na pierwszy bal.

Na pierwszy bal, na pierwszy pląs,
Ustroiłbym ja cię dziewczyno!
W chabrów bławaty, w maków pons
Rozkwitłą spiętych kaliną,
Zarzucił z mgły porannej szal,
Przepasał kibić miedzą płową,
Srebrny miesiączek dał nad głową —
Na pierwszy bal!

Na pierwszy bal, na pierwszy tan —
Trzewiczki dałbym tkane rosą,
Liliowy w dłonie dałbym dzban,
Zorzeńki wstęgę złotokosą,
Oprawił oczy w tęskną dal!
Usteczkom kazał dzwonić śpiewką —
I wiódłbym cię tak moja — dziewko
Na pierwszy bal!

Na pierwszy bal, na pierwszy bal
Ustroiłbym ja cię dziewczyno!
W pozłotę kłosów, sierpów stal
W tęczowe łuny nad doliną!
I wiódłbym w pląs i wiódłbym w tan!
Jak szmatek nieba, skrawek ziemi,
Jak ptasze z skrzydły rozwianemi
Jak kwietni łan!

M.

Wiadomości.

Na życzenie pana Pawła Ordona, kupca z Bytomia na Górnym Śląsku, oświadczamy, iż podpisany pod artykułem, zamieszczonym w nr. 5-tym „Pracy" p. t. „Odpowiedź ministrom" pan Ordon jest tylko pseudonimem, nie mającym nic wspólnego z nazwiskiem p. Pawła Ordona, kupca z Bytomia.

Redakcya „Pracy."

W księgarni, składzie materyałów piśmiennych i przedmiotów dewocyjnych p. J. W. Nowaka w Pr. Starogardzie założyliśmy agenturę „Pracy" i „Czytelni Polskiej" na Starogard i okolicę. W księgarni p. Nowaka mogą nasi abonenci zapisywać sobie od każdego czasu „Pracę" i „Czytelnię Polską." Tamże można otrzymać bezpłatnie okazowe numera „Pracy."

Od Komitetu Zagranicznego Polskiej Partyi socyalistycznej, otrzymaliśmy następujący komunikat:

„Do wyborców okręgu poznańskiego. Obywatele wyborcy! Kilka jednostek — zapewne nieświadomych przeszłości *Marcina Kasprzaka* — wystawiło kandydaturę tego pana we Waszym okręgu przy zbliżających się wyborach dopełniających do parlamentu niemieckiego. Wobec tego uważamy za swój obowiązek przypomnieć Wam zarzuty, ciążące na Marcinie Kasprzaku już od r. 1892 a z których on do dziś nawet nie próbował oczyścić się przed właściwemi instancyami partyjnemi. Podajemy Wam dosłowny tekst ostrzeżenia Centralnego Komitetu b. partyi „Proletaryat" z zaboru rosyjskiego.

Za Komitet Zagraniczny
Polskiej Partyi Socyalistycznej
B. A. Jędrzejowski, L. Płochocki, Dr. Feliks Perl."

* * *

„Niniejszem oświadczamy, że Marcin Kasprzak, alias Maciej, alias Teofil został wykluczony z naszej partyi z powodu:

1. że mu dowiedziono sprzeniewierzenia przez długi przeciąg czasu funduszów partyjnych.

2 że świadomie okłamywał towarzyszy zarówno w kraju jak zagranicą co do ważnych spraw partyjnych.

3. że wogóle wyzyskiwał w sposób niegodny zaufania, jakiem go obdarzono, na rzecz osobistą, żyjąc bez pracy a całkiem lekceważąc sprawę.

4. że w ostatniej sprawie z „Free Russia" na wszystkie strony rozsiewał kłamstwa i potwarze, — co zostało udowodnione przez towarzyszy naszych, którzy go znają od dłuższego czasu.

5. że w ostatnich czasach stał się osobistością podejrzaną pod względem stosunków z policyą.

Podajemy więc to do wiadomości towarzyszy, prosząc wszystkie nasze pisma polskie o powtórzenie naszego oświadczenia, a towarzyszy o udaremnienie Kasprzakowi stosunków wśród socyalistów. Przy swoim sprycie i zręczności, może on niejedną jeszcze szkodę przynieść ruchowi.

Warszawa, grudzień 1892.

(Pieczęć) Partya „Proletaryat" — Komitet Centralny."

Śluby. Dnia 5-go b. m. pobłogosławił ks. proboszcz Lüdke w kościele parafialnym we Wschowie związek małżeński pomiędzy panną Bronisławą Michalską, córką ogólnie szanowanego pana Juliana Michalskiego, rendanta cła ze Wschowy i pani Walentyny z Reimanów, a panem Julianem Biedermannem, kupcem z Gniezna. Kościół przepełniony publicznością był gustownie udekorowany w zieleń i kwiaty, a Towarzystwo miejscowe śpiewu wykonało podczas obrzędu ślubnego piękne „Veni creator" na chóry męzkie i żeńskie z towarzyszeniem orkiestry. Rodzice młodej panny podejmowali z iście staropolską gościnnością licznych gości z blizka i daleka; bawiono się ochoczo aż do rana. Listów i telegramów gratulacyjnych nadesłano 186. — Młodej parze szczęść Boże!

Dnia 5-go b. m. pobłogosławiony został w kościele parafialnym w Janówcu związek małżeński pomiędzy panem Aleksandrem Thomasem, kupcem z Borku, a panną Jadwigą Michalską, córką państwa Ignacego i Antoniny Michalskich z Janówca. Szczęść Boże młodej parze!

Dnia 30 go stycznia w kościele parafialnym w Nakle pobłogosławił ksiądz kapelan Łukomski w asystencyi księży penitencyarza Michalskiego i Miaskowskiego z Poznania oraz miejscowego ks. profesora Kowalskiego — związek małżeński pomiędzy bratem swym Ignacym, inżynierem z Landsberga a panną Heleną, córką ogólnie szanowanych państwa Emilostwa Glatzlów z Nakła. Nowożeńcom przesłał Najprzewielebniejszy ks. Arcybiskup swe arcypasterskie błogosławieństwo. Gości weselnych podejmowali rodzice panny młodej z prawdziwie staropolską gościnnością. Szczęść Boże młodej parze!

Nakładem St. Kanteckiej w Poznaniu, ul. Wilhelmowska nr. 18, wyszła „Książkowość gospodarstwa domowego." Jest to bardzo praktycznie urządzony zeszyt do zapisywania wydatków codziennych na gospodarstwo domowe wraz z poglądem na dochody i wydatki w całym roku. Wiele pań naszych powita niezawodnie z zadowoleniem zestawienie bielizny do prania, dodane do spisu wydatków, a oszczędzające naszym gospodyniom domu zmudnego i nudnego spisywania każdej drobnostki. Nizka cena 30 fenygów umożliwi jak najszersze rozprzestrzenienie tej książki, czego życzymy serdecznie nie tylko ze względu na nową firmę, ale i na dobro naszych pań, które powinny wszystkie bez wyjątku zaopatrzyć się we wydawnictwo p. Kanteckiej.

Na fundusz Janiny Omańkowskiej złożyli w dalszym ciągu: Goście weselni u państwa Sobeckich w Wiekowie, parafii Powidzkiej, 10 mr. 55 fen. Dotąd zebraliśmy na ten cel 390 mr. 9 fen. Z tej sumy doręczyliśmy Towarzystwu „Samopomoc" 124 mr. 52 f., pozostało zatem u nas 265 mr. 57 fen.

Dalsze składki na ten cel przyjmujemy chętnie.

Na odbudowanie wieży na Jasnej Górze złożyli w dalszym ciągu: pp. Sykstus Dunaj 1 mr., Stanisław Przykucki 50 fen., Stanisław Eichler 50 fen., Katarzyna Czerwińska 50 fen., wszyscy z Obornik.

Dotąd zebraliśmy na cel powyższy 374 mr. 10 fen. Dalsze datki chętnie przyjmujemy.

Czytelnia dla kobiet. Biblioteka towarzystwa „Czytelnia dla kobiet" otwartą jest codziennie od godziny 3-ej do 7 po południu.

Zapisywać się na członków można u bibliotekarki p. Cabel. Wpisowe wynosi 1 mr., składka miesięczna 1 mr.

Czytelnia zaopatrzoną jest obficie w pisma tygodniowe i miesięczne.

Ostatniemi czasy włączono do biblioteki pomiędzy innemi:

Z dzieł treści beletrystycznej: Zmartwychwstanie — Tołstoj. O tron — Krechowiecki. Tyara i korona — Jeske Choiński. Zwyciężeni — Grunecki. Barcikowscy — Rodziewiczówna. Nieoswojone ptaki — Rodziewiczówna. Nowocześni bohaterowie — Łętowski. Z doliny łez — Jan Łada. Księga puszczy - Kipling. Pierwsza miłość — Konar. Bajga — Pereświt Ocknienie — dr. Kaźmierz Rakowski. Dwa prądy — Antonina Matuszewicz. Amaryllis — Nowele. Obrazki caryzmu — Gordon. Pod hiszpańskiem niebem — Lejkin. Ideolog — Jonasz Lie. Patryoci z zakątka. Znak zapytania — Gawalewicz.

Z dzieł treści poważnej i naukowej: Najogólniejsze ideały — Prus Kształcenie młodzieży — Plenkiewicz. Jak zająć dzieci — Weryho. Zasady etyki — Spencer. Nowe wychowanie — Demowlini. Prolog — Jan Kasprowicz. Wiedza tajemna w Egipcie — Ochorowicz.

Czytelnia dla kobiet urządzać będzie w czasie zimowym 2 razy miesięcznie pogadanki literackie.

Pierwsza pogadanka na temat: „Konkurs stulecia" odbyła się w poniedziałek dnia 21 z. m. Zarząd.

Września. Na kilkorazowe zapytanie z prowincyi, czy we Wrześni jest potrzebna drogerya, donieść mi wypada, że miasto, które ma 5000 mieszkańców, posiada już 4 drogerye, a oprócz tego handle korzenne, prowadzące towary drogeryjne. Założenie jeszcze jednej drogeryi nie miałoby powodzenia, przez co się przemysłowi polskiemu nie pomaga tylko szkodzi. Dziwi mnie bardzo, że nasi kupcy reflektują li tylko na małe miasteczka, w których konkurencya jest przepełniona. Niektóre miasta w Księztwie i w Prusach Zachodnich posiadają 10 do 20,000 mieszkańców, mają tylko 3—4 drogerye, dlaczego więc rodacy koniecznie szukają tam chleba, gdzie jest przepełnienie? Wegetować w przepełnieniu nie przynosi chleba tylko krzywdę polskiemu przemysłowi i handlowi.

31

RUCH W TOWARZYSTWACH.

Poznań. Sw. Łazarz, d. 5 lutego. Tow. Przemysłowców na Sw. Łazarzu urządziło w przeszłą sobotę, d. 2 lutego, teatr amatorski z wielkiem powodzeniem. Odegrano: „Piosnkę wujaszka" i „Łobzowianie". Zaznaczyć wypada, iż reżyser p. Kaczmarek, jako i p. Łopatka od samego początku dołożyli sił, aby tylko przedstawienie jak naj-

lepiej wypadło. Role były rozdane w stósowne ręce. W pierwszej sztuce odznaczał się oryginalny p. profesor Dodowski, jego siostrzeniec Placyd, Kasper, a przedewszystkiem p. Piperkowska.

W drugiej zaś, jako sztuce swojskiej wszyscy wywiązali się dobrze ze swego zadania. Najgłówniejszą rolę p. Protazego nie można było komu innemu powierzyć jak właśnie p. Ł. Tomek w swej dziarskiej minie p. D. z miasta rozentuzyazmował wszystkich swym mazurem. Zosia i Magdalena także grały wyśmienicie. Wszystkim paniom i panom, którzy raczyli się przyczynić do uświetnienia tejże zabawy szczere, staropolskie „Bóg zapłać. Życzyć by wypadało, aby Zarząd zechciał jeszcze raz tenże występ powtórzyć, a z pewnością znajdzie poparcie od obywateli z miasta. W. J.

Pobiedziska. Towarzystwo przemysłowe w Pobiedziskach urządza dnia 10 lutego r. b. w sali p. Spiegla, na cel dobroczynny teatr amatorski. Odegrane będą; „Ulicznik Warszawski“ komedya w 1 akcie i „Surdut i siermięga“ obraz ludowy w 3 aktach. Początek przdstawienia o godz. $7^1/_2$ wieczorem. Po przedstawieniu zabawa z tańcami.

Znin. W niedzielę, dnia 10 lutego b. r. wieczorem o godz. 8 urządza Kółko śpiewu kościelnego teatr amatorski na sali p. Bukowskiego. Odegraną będzie: „Genowefa.“ Po przedstawieniu zabawa z tańcami.

O liczny udział uprasza Zarząd.

Kobylagóra, d. 1 lutego. Niniejszem mogę się podzielić z Szanowną Redakcyą „Pracy“ tą pocieszającą wiadomością, że w Kobylejgórze na samem pograniczu naszej kochanej Wielkopolskiej ziemi, założone zostało Towarzystwo Ludowe i to pod nazwą „Towarzystwo Ludowe polsko-katolickie w Kobylejgórze.“ Członków liczy Towarzystwo przeszło 50. Celem Towarzystwa jest wspólne pouczanie się, odczyty, śpiew itd. Zebrania odbywać się będą co 2 tygodnie w niedzielę o 4 po poł.

Szczęść Boże! — Przyp. Red. „Pracy.“

Z nad Lutyni. We wsi Wilkowyji założone zostało Kółko śpiewackie celem pielęgnowania śpiewu polskiego tak kościelnego jako i świeckiego. O ile wiem, jest to pierwsze Kółko takie na wsi. Oby więcej takich wsi się znalazło! Szczęść Boże!

Jeden z członków.

Srem, 5 lutego. Koło śpiewackie polskie w Sremie i Towarzystwo gimn. „Sokół“ tamże urządzają na ogólne życzenie teatr amatorski w przyszłą niedzielę d. 10 lutego r. b. na sali hotelu „Viktoria“ — Odegrany będzie ponownie dramat hr. Starzeńskiego: „Gwiazda Syberyi.“ —Początek o godz. $7^1/_2$, ceny miejsc zniżone.

Dziękując wszystkim uczestnikom za okazaną nam życzliwość przy pierwszym występie naszym, upraszamy Szanowną Publiczność z miasta i okolicy uprzejmie, ażeby i w przyszłą niedzielę raczyła łaskawie obecnością swą na przedstawieniu poprzeć szczere chęci nasze, służenia zawsze tylko sprawie dobrej. Cel dobroczynny.

Zarządy Koła śpiewackiego i Sokoła.

Wrocław. Towarzystwo polsko-katolickie urządza w niedzielę 10 t. m. zabawę karnawałową na małej sali domu św. Wincentego. Początek o godz. 5. Wstęp dla gości 75 f.

Na powyższą zabawę wszystkich życzliwych Towarzystwu rodaków jak najuprzejmiej zaprasza Komisya.

Drezno. Tutejsze Towarzystwo przemysłowców polskich urządza d. 10 b. m. przedstawienie amatorskie na sali hotelu „Zur Stadt Petersburg. Odegrany będzie dramat Korzeniowskiego p. t. „Karpaccy Górale.“ Początek przedstawienia o godz. 8 wieczorem. Po przedstawieniu zabawa z tańcami.

Stęszewo. Tutejsze Towarzystwo młodych przemysłowców urządza dnia 10-go bm. na sali zebrań Towarzystwa przedstawienie amatorskie na cel dobroczynny. Odegrana będzie komedya w 3-ch aktach p. t. „Estera.“ Początek przedstawienia o godz. pół do 8-mej wieczorem. Po przedstawieniu zabawa z tańcami.

Jaraczewo. Tutejsze Towarzystwo przemysłowe urządza na ogólne życzenie powtórzenie teatru dnia 10-go b. m. na sali pana Lipońskiego na cel dobroczynny. Odegrane będą powtórnie: „Błażek opętany“, „Smierć więźnia“ oraz „Przybłęda.“ Początek przedstawienia o godz. 7-mej wieczorem. Po przedstawieniu zabawa z tańcami.

Obrzycko. Tutejsze Towarzystwo przemysłowe urządza dnia 10-go bm. na sali p. Krawczaka przedstawienie amatorskie na cel dobroczynny. Odegrane będą: „Tajemnica“, „Adam i Ewa“ i „Ulica nad Wisłą.“ Początek przedstawienia o godz. 7-mej wieczorem. Po przedstawieniu zabawa z tańcami.

Rokitno. Roczne sprawozdanie z zakładu Siostr Miłosierdzia św. Karola Boromeusza w Rokitnie.

W 1900 r. pielęgnowały Siostry z tutejszego klasztoru 128 chorych, według czasu zajmowała opieka nad chorymi 1383 dni i 609 nocy, oraz 120 dni, gdzie chwilowej, nie całodziennej udzielano pomocy. Z powyższej liczby chorych umarło 17,7 częściowo, a 102 zupełnie powróciło do zdrowia. Według wyznania, przypadało na katolików 122, na protestantów 4, na żydów 2 chorych.

Oprócz tego przychodził zakład z pomocą cierpiącym, biednym i potrzebującym i według sił i zasobów starał się ich wspierać środkami spożywczemi, bielizną itd.

W zakładzie wychowawczym dla dziewcząt, utrzymywanym przez Kongregacyą, było, w ciągu ubiegłego roku 97 uczennic. Takowe otrzymywały naukę we wszelkich przedmiotach wchodzących w zakres gospodarstwa domowego, jako też w robótkach ręcznych, w szyciu, w językach i muzyce: mianowicie też starano się wpoić w nie zasady dobrego i wzorowego życia chrześciańskiego.

Dalej było umieszczonych w zakładzie 15 sierót, które tu znalazły troskliwą opiekę.

Liczba Sióstr, przeznaczonych do pielęgnowania chorych i do innych zajęć w klasztorze, wynosi obecnie 19.

Niechaj Opatrzność Boża i nadal czuwa nad zakładem i błogosławi naszej pracy!

Zarząd.

Ks. Garske, dziekan. Sr. M. Rafaela, przełożona.

Od Redakcyi.

Wielki Zdziar. Niech Pan się nie obawia o żadne nieprzyjemności, jeżeli tylko numery przeszły przez cenzurę. Zwyczaju stemplowania zagranicznych gazet niema, i co Pan pocztą otrzyma, to Panu wolno czytać. Dla pewności radzilibyśmy jako dokument chować ostemplowane przez pocztę koperty lub opaski, w których Pan odbiera. — Dla małej liczby czytelników, choćby chodziło o ich osobiste bezpieczeństwo, nie możemy zmieniać polityki. Zresztą w tych sprawach zachowujemy stanowisko czysto referujące. — Serdeczne pozdrowienie.

Panu Cygnar. Prawie we wszystkiem zgadzamy się na Pańskie zapatrywania — ale łatwiej o tę zgodę niż o naprawę. Rubrykę: *Echa z całej Polski* zaprowadziliśmy, ale wobec polityki galicyjskiej z rezerwy nie wyjdziemy, bo nam się zdaje, że to ziele, które się tam krzewi pod nazwą polityki, jest najgorszego gatunku chwastem. Walka z nim przechodzi i zakres naszego działania i nasze siły. O nadsyłanie artykułów prosimy o ile możności ze stanowiska obserwacyjnego.

Braliński. Za list dziękujemy, ale właśnie tę drażliwą sprawę zbył Pan ogólnikami. Dr. R. prosi o fakty, o suche fakty i dużo ich. Tego Panu nie brak. Dyskrecya najzupełniejsza. Zresztą *Braliński* może wszystko pisać, co później wypłynie w innej formie.

Panu Józefowi Spichalskiemu w Bernburgu dziękujemy za obszerny list. Prosimy jeszcze o jeden list od Pana (z podaniem adresu), a mianowicie czem się trudnią Polacy w Bernburgu, jakie mają zarobki i czy w Księstwie Anhalckiem istnieją jakie większe osady polskie, gdzie i jakie?

Panu Andrzejowi Jur. Serdeczne pozdrowienie i życzenia pomyślności. Z artykułu skorzystamy w skróceniu.

Panu W. Szulc. Umieścimy z przyjemnością. Jeśli Pan „Ocknienia“ nie otrzymał, to prosimy zamówić na karcie w księgarni Leitgebra w Poznaniu. Cena 1 mk. 50 fen.

Gospodarz Jan Sobolewski. Bardzo prosimy o list. Na łamach naszego pisma głosy naszego prostego ludu zawsze chętne i życzliwe znajdą przyjęcie.

Do Pana Fr. Białasika w Salzbach wysłany został list, ale ponieważ nie wiedzieliśmy bliższego adresu, więc może nie doszedł. Prosimy o bliższy adres, jeśli listy nie dochodzą.

Pan Ad. Wysocki. List Pański i projekt poddaliśmy opinii fachowca, jednego z wybitnych obywateli kraju. Sądzimy jednak, że po 300 mk. na członka liczyć nie można.

P. Bazyli Chojn. Serdeczne pozdrowienia.

P. Kompek, Bremen. Prosimy tylko czytać — a pewnie na długo zostaniemy przyjaciółmi. Na gruncie narodowym wszyscy pracować możemy, ramię obok ramienia.

Pan Urbanowicz Brema. Cztery arkusze raz już wysłane, wysyłam jeszcze raz. Jeśli Pan nie odebrał, to widocznie kradną, niech Pan da wiadomość.

P. J. S. w Duisburgu. Książka o wychodźtwie, nad którą teraz Dr. R. pracuje, będzie miała i ten cel praktyczny, o którym Pan wspomina, a więc, że każdemu rodakowi wskaże w jakiem mieście istnieje towarzystwo, i aby się mógł zaraz udać do niego. — Niech pan do nas co napisze o Polakach w Duisburgu, to się umieści. Uwagi Pańskie są słuszne i w osobnym artykule je zużytkujemy.

P. Godlewicza, Monachium. Prosimy o adres.

Panu Józefowi R. w Duisburgu. O jakie książki jubileuszowe Panu chodzi?

Kilku parafianom Janowieckim. Prosimy o dokładne wyjaśnienie nam sprawy z temi składkami, bo doprawdy zrozumieć nie możemy, czy list panów — to „sprostowanie sprostowania“ czy też potwierdzenie poprzedniego sprostowania. Chętnie umieścimy.

Pani S. w W. Najserdeczniej dziękujemy; odebraliśmy i doręczyliśmy.

„Rawiczowi“ z nad Warty. O ile nasze informacye sięgają, słownik taki nie istnieje.

Panu Fr. Rotnickiemu. Wyjaśnienia chętnie udzieli p. Kwiatkowski, ogrodnik w składzie kwiatów „Flora“ w hotelu Francuzkim.

N. N. N. 100. Jeżeli sprzedający przeciw ugodzie z nim zawartej sprzedał nie-

które rzeczy do inwentarza gospodarczego należące i zboże, które miał pozostawić na gruncie, to możesz mu Pan wartość tychże przedmiotów z ceny kupna odciągnąć. Deski i sanki nie należą koniecznie do martwego inwentarza. Jeżeli grunt był sprzedany, jak stoi i leży, to sprzedający nie był obowiązany. Panu powiadać, że kis sprzedał i że są doły na gruncie. O tem powinien Pan był sam się naocznie przekonać przy oglądaniu gruntu.

Panu A. K. w C. — A. B. 500. Nowy budynek na wsi budowany musi od budynków sąsiada przynajmniej 3 stopy być oddalony, zaś od granicy sąsiada, gdzie budynków nie ma, $1^1/_2$ stopy. Okna w budynkach tuż przy granicy sąsiada nowo budowanych muszą być — jeżeli wychodzą na podwórze lub ogród sąsiada, przynajmniej 6 stóp (2 metry) nad podłogę wywyższone i żelaznemi sztabami tylko 2 cale od siebie oddalonemi lub siatką z drutu zaopatrzone.

P. *Z. K. Mechlin.* Numer noworoczny zupełnie wyczerpany.

P. *M. Weinhert Kollachen Pr. Wschodnie.* Powieść „Wina i Pokuta“ wyczerpana.

P. *T. Fengler, Ostrów.* Numery gwiazdkowy i noworoczny wyczerpane.

P. *Julian Uruski. Przemyśl, Galicya.* Po ukończeniu nadeślemy.

P. *W. Tyllia, Strzelno.* Prosimy o nadesłanie kwitów, a premię wyślemy.

Panu Janowi Wyklandowi w Chełmży. Przyślij Pan kwit pocztowy i 20 fen na porto, a przyślemy.

L. P. Grodzicki. Taka gazeta nie istnieje. Udaj się Pan po stosowny podręcznik do księgarni A. Cybulskiego w Poznaniu, św. Marcin.

Panu Dr. Wł. Junosze Sulerzyskiemu, adwokatowi krajowemu w Dobrzycy pod Wieliczką. Za słowa uznania dla „Pracy“ i agitacyę dziękujemy najserdeczniej.

Humorystyka.

Zuch Grzela.

Mam ci ja we wsi Grzelę —
Parobczak, tęgi zuch!
Nie lubi robić wiele,
A jeśćby jadł za dwóch!
Gdy dobry, uśmiechnięty —
To choć na rany kłaść!
Lecz nadepcz mu na pięty,
To zaraz pluje w garść!
Za tańcem, za dziewczyną
Na świata szedłby skraj!
Potrząsa „koprowiną“
I krzyka: — Skrzypku, graj!
Gdy ujmie w pół dziewuchę
Z podkówek sypią skry!
A szepcze: Mojaś ty!
A patrzy prosto w ślepki,
Że aż się nagnie w pas!
To z ksóbki, to odsiebki
Spogląda raz po raz!
Zna, różne zna piosenki —
I konie lubi Grześ —
Co zajrzy do stajenki
To głaszcze: „ciesia! cieś!“
Gdy skoczy na kasztanka,
A śmignie w zielny łan —
To biała mu sukmanka
Z wiaterkiem idzie w tan!
Za pługiem przyśpiewuje
I z bicza pali rad...
Lecz czasem coś „sumuje“,
Jakby mu chmurniał świat!
Czasem gdy z leśnej głuszy
Doleci echem strzał —
Mój Grzela westchnie z duszy
I będzie stał a stał.
Czasami po jarmarku
Gdy wraca — „*wiśta*“, „*wie*“!
Przy wiejskim przy cmentarku
Rękawem otrze łzę!
Czasami dziadowina
Nawiedzi naszą wieś...
Ej! ranna już godzina
A dziada słucha Grześ!
A słucha, kręci głową,
A grosik w torby pcha!
Ten Grzela, daję słowo,
To kubek w kubek ja!
Zapłaczę ja serdecznie —
Do dziewuch pierwszy-m zuch!
Do pracy — niekoniecznie,
A jeśćbym jadł za dwóch! *Bl.*



Kelner: Czem mogę służyć?

Gość Kameruńczyk: Proszę o porcyę mózgu.

Kelner: A jakiego?

Gość Kameruńczyk: Proszę „bakatystycznego!“

Z balu młodych kupców w Poznaniu.

Zachwyt lśni w ocząt twych głębi:
Bal — wonie — barwy motyle.
Wszystko się miesza i kłębi
W złotawym od świateł pyle.

Wszystko się mgłami powleka,
Jak w widzeń sennych błękicie,
Omdlała cięży powieka,
I stoisz, dziewczę, w zachwycie.

Bal pierwszy! — pierwsza sukienka
Balowa z kwiatem u boku,
Z wachlarzem nieśmiała ręka,
Nieśmiałość w przyćmionem oku.

Zachwyt dziecięcy cię mroczy,
Więc przyjmij pomoc zuchwalca:
Biorę twój zachwyt w me oczy
I proszę panią — do walca. *nix.*

Myśl kowala.

Widziało się różne rzeczy kute — ale takiej kutej jak moja baba, to jeszcze na świecie nikt nie widział.

Bartek matematyk.

Bartkowa przy kołysce: A to ci dopiero nudne dziecko! Ciągle wrzeszczy. Mógłbyś też i trocha pokołysać, boć to przecie też twoje dziecko!

Bartek: A juści... A ty swoją połowę kołysz, a moja niech tam wrzeszczy.

Monolog pani Reginy.

Nu — doprawdy, moi państwo —
To jest bardzo brzydka sprawa:
Mąż mój — grube fisz na giełde —
Dżyszaj właśnie w sądże stawa...
I to wcale nie jak szwiadki,
Które szwiadczą za dwa złote —
On dżysz staje sam za szebie —
On dżysz broni swoje cnotę!.!.
Bo na niego skargę dali —
Co un lichwe sze zajmuje...
Co to znaczy? Moi państwo?
On szlachetnie se targuje...
On ma handel z wiktuały,
Z różne sody, octy, bułki —
On ma handel sam na szebie
I nie wchodży w żadne spółki..
A że czasem on wigodży —
Gdy go prosi panicz jaki,
To bicz mają zaraz sądy
I gwałtowny proces taki?!...
Czy on duży bierze procent,
Czy on tysząc bierze za sto?
On uczciwie bierze... dwieście.
Jego znają w całe miasto...
On miał respekt między żydki,
Czasem biwał on u „Srula“.
A dżysz — patrzcie — moi państwo,
Jaka brzydka awantura!
To przez jego „miętkie“ serce,
Bo un taki — państwo moi,
Że jak jego zaczną prosić,
To pożyczy, choć sze boi...
Mnie już całkiem jest niedobrze...
Mój mąż dżyszaj w sądże staje —
Mój mąż, który swoje Salcze,
Za szlachcyca za mąż daje?...
Państwu dżywno?... Ja nie kłamie!
Za szlachcica — daję słowo,
Un to wszystko ma w papiery,
I ma deskę echt — herbową...
Takie deskie — co jest tarcze,
Na niej takie mądre znaki,
Un na deskie te ma dżyka
I dwa wielkie czarne ptaki!...
Niech sze tylko prędko skończy
Brzydka sprawa ta psieklęta,
Mi urządzim takie gody —
Co Poznań nas popamięta!
Er.

Co innego.

Maciek ma lat 25 i potężny z niego dryblas, a w żaden sposób nie chce się żenić, bo się okrutnie boi. Rodzice wybrali mu Kaśkę, córkę gospodarza z sąsiedniej wsi, bardzo szykowną i wcale nie biedną dziewczynę, a gdy na niego gwałtownie nacierają, Maciek beczy.

— No i czego beczysz, głupi Maćku? — pyta ojciec; — czego się boisz? Patrz na mnie i na matkę, wszakże myśmy się też pobrali i dobrze nam z tem!

— Ha! — odpowiada Maciek — dobrze wam gada. Tatuś ożenili się z matusią, ale ja się mam żenić z docna obcą dziewuchą.

* * *

Przepis na pączki.

Witam was Piękne! z Nowem stuleciem!
Całuję stópki i rączki...
A na wiązanie — z dziedziny ducha
Służę przepisem na... pączki!

„Pół garnca mąki, żółtek trzydzieści,
Pół funta cukru i drożdży —
Zmieszawszy razem z kwaterką mleka,
Ponieś na chwilę do nozdrzy!
Gdy „kurzy owoc“ nie miał ochoty
Skrzydlatej tworzyć rodziny —
Wlej topionego masła sześć łyżek
I bij półtorej godziny!
Poczem przy piecu postaw „zaczynę“ —
Aby nie było zakalcu —
A gdy się „ruszy“ rozwałkuj ciasto
I smaż na maśle lub smalcu!“
Pączki inaczej, czyli *parzone*,
„Na kwartę mąki, pół mleka —
Dziesięć jaj całych, ćwierć funta drożdży
Zmieszaj i niech tak poczeka,
Gdy się już ciasto nieco podniesie,
Wsyp cukru, masła wlej szklankę,
Gorzkich migdałów drobno siekanych —
I z ośmiu białek wbij piankę!
Wymieszaj razem, daj podnieść trochę —
Potem do dzieła co żywo!
Nałóż konfitur! Wytnij kieliszkiem!
I smaż, przykrywszy pokrywą!“
Jeszcze inaczej. „Pół funta masła
Utrzyj na wolną śmietanę —
Wbij dziesięć żółtek i tyle mąki —
By ciasto było nie „lane“!
Dodawszy drożdży — postaw na cieple —
Niech stoi kilka pacierzy...
Poczem rozwałkuj... Daj podrość jeszcze...
Zresztą postępuj jak wyżej!“
Oto najświeższe wiedzy zdobycze —
Z dziedziny — gdzie królem pączki!...
Co powiedziawszy... smacznego życzę —
Całuję stópki i rączki! *El.*

Za wszelkie reklamy i ogłoszenia odpowiedzialnym jest administrator „Pracy“ Wincenty Szmytkowski.



Energiczna Magda.
— Wojtek, co tak siedzisz, jak niemrawa?
— Bo mi się we łbie kręci!
— A w którą stronę — powiedz — to ci z miejsca odkręcę.



Zakład graficzny Antoniego Fiedlera

Poznań, ul. Berlińska 16.

wykonuje

klisze drukarskie

wszelkiego rodzaju podług rysunków, fotografii i obrazów do dzieł illustrowanych, pism, cenników i anonsów.

Karty korespondencyjne z widokami.

Na żądanie wysyłam próby illustracyi, wykonanych w moim zakładzie. 32

JAVOL

Najlepszy środek na włosy! Javol nadaje włosom zupełną piękność, czyni je miękkiemi jak jedwab, nadzwyczaj bujnemi i falistemi. 806

Wskutek swoich szczególnych przymiotów utrzymuje naturalny kolor włosów do sędziwego wieku i zapobiega siwiźnie.

Cena flaszki 2 mk.

Do nabycia we wszystkich pierwszorzędnych parfumeryach, drogeryach, także w wielu aptekach

Do nabycia w Koźminie, w aptece p. Balcerka i w drogeryi I. F. Grochowski Nast.

Darmo

daje recepty do fabrykacyi sztucznych win! 14

A. Szmytkowski

Pniewy (Pinne, Pr. Posen).

Destylacya i fabryka likierów

poleca po nizkich cenach

Jubileuszówkę

wyborną wódkę deserową, odznaczoną na wystawie w Bordeaux złotym medalem, oraz wszelkie inne wyroby moje, jako to znakomite

nalewki, wódki gdańskie, żołądkowe, alpejską,

także prawdziwe

araki, rumy i francuzkie koniaki.

Dla teatrów amatorskich!

Jedyne wydawnictwo teatralne z muzyką na fortepian podłożonemi śpiewami, pięknemi rycinami tytułowemi o dwubarwnym druku pod tytułem:

NARÓD SOBIE!

Po 1 m. No. 1. Halina. Bursztyny Kasi. — 2, Żdżarski, akademik, cz. Ofiara za Ojczyznę. — 3. Kucz Ulica n. Wisłą. — 4. Adam i Ewa. — 5. Papugi naszej babuni. — 6. Bayard. Nic bez przyczyny. — 7. Wieniarski. N. Wisłą. — 8. Dębicki. Bartos z pod Krakowa. — 9. — Żyd w beczce. — 10. Grang & Thiboust. Było to pod Wagram. — 11. Galasiewicz. Abv handel szedł. — 12. Ładnowski. Lokaj za pana. — Staruszkowie w zalotach. — 13. O chlebie i wodzie. — 14. Kamiński. Kominiarz i młynarz. — 15. Jasiński. Nowy Rok. — 16. Żółkowski. Bankructwo partacza. — 17. Deslandes. Małe ladaco. — 18. Dmuszewski. Szkoda wąsów. — 19. Godebski. Miłostki ułańskie. **Po 2 m.** No. 51. Szygethi. Stary piechur i syn jego huzar. — 52. Friedberg. Prawica i lewica. — 53. Brodziński. Wiesław. — **Po 1,50 m.** Korzeniowski. Okrężne. 652

Słowaczyński, Chłopiec 100 dukatowy, cz. Zaklęta w kaczkę księżniczka na Ordynackiem 50 fen. — Pobratymiec, Monologi, 2 ser. po 25 fen. wysyła z nadesłaniem należytości, obszerne katalogi darmo i franko. 652

A. Cybulski, Księgarnia, Poznań.

Farbiernia
i chemiczna pralnia
Gustawa Schaera
w Poznaniu.

Fabryka Poznań W. 6, ul. Forteczna 39.
Skład św. Marcin 14,

poleca się do chemicznego czyszczenia i farbowania wszelkiej odzieży prutej lub też w całości, oraz do prania plusów, aksamitów i piór, portyer i t. d. 558

Nowość!

Mówiące fonografy po 25 mk.



Broszka złota dublej sprawdz. opalem tylko 2,50 mk. wszystkie głoski na składzie. 730

M. Szczepaniak, Krotoszyn, rynek, drugi skład w Ostrowie, ul. Kolejowa.

Cennik darmo.

Grzyby

karpackie i litewskie

56 poleca

Stanisław Gurgul

ces. i król. dostawca dworu w Krakowie.

Sprzedaż tylko dla pp. handlujących.

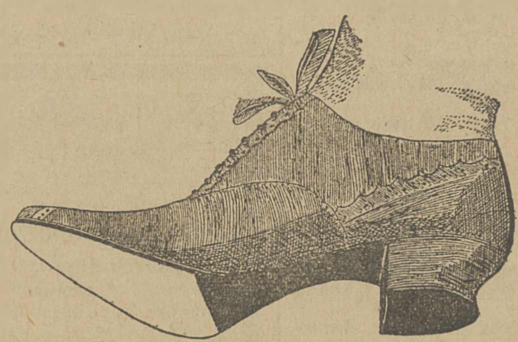
K. May

Najstarszy warsztat i skład obuwia

w Poznaniu,

ul. Wilhelmowska nr. 21.

(naprzeciw hotelu Francuzkiego.) 49



Wszelkie zamówienia w zakres szewstwa wchodzące, uskutecznia się spiesznie i akuratnie.

Ceny jak najtańsze.

Szkoła handlowa

polskiego, niemieckiego, francuzkiego, angielskiego i rosyjskiego języka dla dorosłych i dzieci. Przysposabia jednocześnie do egzaminu jednorocznego. 680

Rutkowski,
Berlin N., Invalidenstrasse 35.

Do sadzenia wiosennego polecamy 53

drzewa owocowe

a specyalnie

Czereśnie sztuka po 60 fenygów, 100 sztuk 55 Mr.

Bliższych szczegółów co do ceny innych drzew owocowych, jako też rady przy sadzeniu oraz zakładaniu sadów udzieli

Zarząd ogrodów w Miłosławiu.

Spółka szewska

w Poznaniu, 681
St. Rynek nr. 3, przy Ratuszu.

Skład i warsztat wszelkiego obuwia

po niezwykle nizkich cenach.

Wszelkie zamówienia oraz **reparacye** wykonuje się w krótkim czasie.

Usługa skora i rzetelna.